

JANUSZ ANDERMAN

KRAJ ŚWIATA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1988

KRAJ ŚWIATA

1907

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY

WYDZIAŁ WYDAWNICZY

WYDZIAŁ WYDAWNICZY

WYDZIAŁ WYDAWNICZY

WYDZIAŁ WYDAWNICZY

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 436

ISBN 2-7168-0103-7

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

JANUSZ ANDERMAN

KRAJ ŚWIATA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1988

JANUSZ ANDRZEJCZYK

KRAJ ŚWIATA

INSTITUT LITERACKI  INSTITUT LITERAIRE

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1988

JAKOŚ PUSTO...

Taksówkarz wątlým krokiem zbliżył się do dyżurki i zamął przed mętną szybą z okrągłym otworem; wykręcał w rękach czapkę i patrzył przypochlebnie na dyżurnego, który siedział ze zwieszoną na piersi głową; wyglądał jak człowiek opanowany przez senność nie do pokonania, ale on pochylał się tylko nad małym lusterkiem, ułożonym na kolanie; nad górną wargą miał przyklejony strzępek gazety z różyczką zakrzepłej krwi i paznokciem małego palca usiłował go ostrożnie podważyć.

— Proszę pana, z łaski swojej... — odezwał się taksówkarz, pochylił się ku ziemi i zastygł w wiecznym ukłonie.

Dyżurny drgnął i podniósł gwałtownie głowę, zastygła kropla krwi została mu na paznokciu, a spod blatu odezwał się cichutki brzęk i w tym momencie w półmroku błysnęło parę okruców światła.

— Siedem lat nieszczęścia — powiedział nieśmiało taksówkarz i zaraz przestraszył się swojego głosu; dyżurny patrzył na niego, ale nie było widać złości, bo szkarłatne pasemko, które połączyło teraz ranę z kątem ust sprawiło, że dyżurny uśmiechał się drapieżnie połową twarzy.

— No? — odezwał się dyżurny. — Ca?

— Jakby to... — taksówkarz jednym szarpnięciem naderwał daszek czapki — jakby... w ten deseń... jest tu jakie inne wyjście?

— Ca?

— Ja tu z pasażerem jestem, wysoki, czapka, płaszcz, w ten deseń... mówił, że na dwie minuty, a mnie licznik już wybił tysiąc siedemset... i ziąb... to może jest tu jakie inne wyjście, czy jak...

— Tu nikt taki dany nie wchodził w dniu dzisiejszym — powiedział dyżurny i zgrzytnął butem na szkle.

— No jak nie wchodził, jak na moich oczach wchodził — zdenerwował się na moment taksówkarz i zaraz przycichł. —

Wchodził. Czapka, płaszcz. Ósma rano. A teraz która. Tysiąc siedemset mnie licznik wybił. A ziąb? Nie ma tu jakiego wyjścia drugiego, czy jak...

— Tu nikt taki dany nie wchodził w dniu dzisiejszym. Jedźcie do domu albo spokojnie czekajcie. Jak mówię, to mówię. Tak czy nie? Ca?

Oszołomiony taksówkarz zatoczył się w stronę drzwi; jak nie wchodził, jak wchodził, płaszcz, żebym tu na miejscu do domu nie wrócił, jak on nie wchodził, jak wchodził... jak we filmie to wszystko, psia krusz, jak we filmie, czapka...

Minęło go dwóch ludzi, którzy nie rozglądając się, ruszyli znajomą drogą w kierunku mętnej szyby z oczkiem; taksówkarz patrzył za nimi podejrzliwie i cofał się do drzwi; tysiąc siedemset czterdzieści już będzie, tysiąc siedemset czterdzieści. A ziąb?

Potem tamtych dwóch ludzi pokonywało schody, nad poręczami pięła się w górę odpychająca metalowa siatka, a dyżurny siedział za szkłem, spoglądał w dół, na posadzkę, na karminowe usta aktorki, której zdjęcie odkleiło się od stłuczonego lusterka; można było pomyśleć, że chucha na zziębnięte palce, ale on tylko trzymał w olbrzymich dłoniach słuchawkę i melodyjnie meldował; ta je... tych dwóch lyteratów zawezwanych w charakterze...

A oni podnosili teraz machinalnie głowy, patrzyli na tabliczki z numerami, przybite nad drzwiami, ale było to niepotrzebne, bo nieomylnie zmierzali do swoich drzwi.

Zatrzymali się przed nimi i gdy jeden z nich uniósł rękę by zastukać, drzwi cofnęły się przed palcami; chwilę stali oko w oczy, milczeli, a potem usłyszeli polecenie; jestem teraz bardzo zajęty, usłyszeli, pro zaczekać na tej ławce, jakiś czas, później porozmawiamy; odwrócili się w stronę ławki, cofnęli się, odprowadzani gospodarskim okiem, potem przysiedli i jak pchnięci podmuchem powietrza od zamykanych drzwi odchyłili się jednocześnie ku oparciu.

Milczeli, a zza drzwi odezwały się odgłosy uderzeń w twarde klawisze maszyny.

A potem długo syczała pod sufitem jarzeniówka i przygasała równomiernie na mgnienie; jeden z nich wyjął z kieszeni zwiniętą gazetę i popatrzył na drzwi, drugi obracał w palcach papierosa, z którego posypały się plewy tytoniu, potem włożył go w usta, ale nie zapalił; siedzieli w milczeniu i ciągle otaczały ich słowa, które wyrzucili z siebie przedtem, wcześniej, w drodze do tego miejsca.

Stali wtedy w tramwaju, który włókł się przez most tak wolno, że woda pod nimi trwała bez ruchu; napisali w gazecie, powiedzieli któryś, że nie wolno szybciej jeździć, bo hałas przeszkadza miesz-

kańcom, to znaczy po naszymu, że most grozi zawaleniem; a potem tramwaj stanął i zatrzepotały połówki drzwi; spod pierwszego wagonu buchał dym i gdy wysiedli, zobaczyli małą kobietę w tramwajarskiej czapce, która miotła się wokół tego wagonu i krzyczała do pasażerów, ludzie, uciekajta, bo jak to wszystko pizdnie, to ja nie wiem, kto będzie płacił i jakby na potwierdzenie tych słów waliła gaśnicą w asfalt; gaśnica wydawała z siebie przeciągły gwizd, a potem, po ostatnim uderzeniu, odpadło od niej denko i z wnętrza posypała się garstka rdzy; ludzie ciekawie zaglądali pod tramwaj i po raz pierwszy tego dnia twarze mieli powleczone radością; pięknie się hajcuje, pięknie, szeptali do siebie, dym jak dzwon, a oni ruszyli ku brzegowi rzeki i szli powoli, spoglądając w dół, na pleniącą się wodę, mijali przęsła i mostu ubywało; nigdy mnie tak cenzura nie obezwładniała jak teraz; żadna cenzura; już od paru lat jest inaczej, szczególnie teraz; tamtą cenzurę można było kiwać, na tysiące sposobów; taka gra raz cieszyła, raz była upokarzająca, ale z tą nie umiem walczyć; ona jest we mnie i jest coraz silniejsza; była silna już w tamtych czasach, w osiemdziesiątym, w osiemdziesiątym pierwszym, ale wtedy się czekało, wtedy się jeszcze tłumilo w sobie wszelkie wątpliwości; ten cenzor pojawił się we mnie tak naprawdę, kiedy siedziałem; wszystko, co było do tej pory rozproszone i mniej uchwytnie, skupiło się w jednym miejscu, kilkuset ludzi; to była małpiarnia; najpierw broniłem się przed tym obrazem i nie przyjmowałem do wiadomości swoich ocen, ale potem obraz zwyciężył i zdominował mnie, poza tym nie byłem sam, bo przywieźli takiego jednego trzeźwego z politechniki i on już po paru dniach, gdy się zorientował, jak mnie to wszystko mierzi, ta atmosfera bogoojczyźniana, ten rytuał, te chóralne pieśni religijne każdego dnia przez kraty, podrywanie co chwile z byle powodu całego więzienia do głodówki, a widziałem takich krzykaczy, co żarli w nocy ukradkiem i przerywali te głodówki po dwóch dniach; te rozmowy miesiącami o robieniu wielkiej polityki, ta wiosna nasza, mimo, że wiosna trwała nieubłaganie, podziały na tych, co za największą zasługę dla kraju uważali zrobienie z klawisza wała i na tych, co się wybierali do klawiszy z życzeniami na święta; to im da do myślenia, mówili; miesiącami się na ten temat międlilo; przy tym symbole i symbole czegoś, czego już nie było, bo nie było tego przede wszystkim w ludziach; więc ten trzeźwy z politechniki zaczął mi mówić o tym jak za murami, po tamtej stronie, rośnie legenda tego więzienia, jak się mówi, że zebrano w nim ekstremę ekstremy, że on, jako szeregowy działacz związkowy, cieszył się, gdy go już wzięli, że wiele się tu nauczy, w tej akademii opozycji; tak to miejsce nazwał,

a teraz to się tylko zastanawia, jak ten cały interes mógł przenieść szesnaście miesięcy; on się nie mógł otrząsnąć ze zdumienia i patrzył; przyglądał się i widział jak poważny działacz związkowy był szczęśliwy, gdy zobaczył na dziedzińcu ubeka, bo mógł do niego krzyknąć z bezpiecznej odległości, ubol, ty chuju złamany na kaczych łapach; przyglądał się i był zdumiony i pytał, co można w ten sposób wygrać; patrzył na tych ludzi, co żarli czekoladę z zagranicznych paczek, a potem słuchali na widzeniach opowiadań dzieci o kartkach na dwadzieścia deko landrynek i to był pretekst do nauk o okrucieństwie władzy; patrzył na takiego magika, który był kiedyś ważny, a lenistwo umysłowe nie pozwoliło mu zmienić przekonania na temat tej swojej ważności; kiedyś prowadził pogadanki o tym, że ten ustrój rozwija i propaguje alkoholizm, bo na nim się opiera, a teraz, tu, wynalazł metodę pędzenia bimbru i pędził ten bimber po cichu; patrzył jak ci, co chcieli wieszać łapówkarzy, dają teraz łapówki naczelnikowi gminy, który odsiaduje swój wyrok za łapówki i zarządza łaźnią i za łapówkę można wyłudzić od niego łańch z pieczątką więzienną; będzie go można przemycić na widzenie; baby lubiły się wtedy ubierać na znak żałoby w takie popielate koszule z pieczątką; patrzył na tych, co się skarżą szwajcarskim lekarzom z czerwonego krzyża, którzy widzieli już parę więzień w Azji i Ameryce Południowej; na tych, co się skarżą, że raz jest za zimna woda w łaźni, a raz za gorąca, patrzył na tych, co niedawno kazali pisać na murach, że telewizja łże, a teraz przymilali się, by klawisz zezwolił im poza kolejką obejrzeć dziennik, patrzył na tych, którzy z taką wyższością traktowali kryminalnych; siedziało między nimi paru zawodowych kryminalnych, którzy solidarnie głodowali i to zostało zapisane w ich kartotekach, które będą za nimi wędrować do końca życia przez wszystkie więzienia tego kraju, patrzył na ludzi, którzy byli szczęśliwi, byli szczęśliwi, że siedzą i nie zauważali, że ta aureola jest z łupieżu; więc ten przytomniak mi powiedział, że choć uważa się za kulturalnego docenta, to sformułuje swoje spostrzeżenia w ten sposób, że on pierdoli taką akademię opozycji; jasne, że nie wszystko tak tam wyglądało, jasne, było wielu innych ludzi, ale gdzieś się to wszystko gubiło i dominował taki paskudny obraz; w końcu ani słowa nie napisałem o tych czasach, bo albo ten mój cenzor by mnie zakłamał na śmierć, bo przecież nie można było o tym wszystkim pisać, przecież trzeba krzepić serca i krzewić mity, tak czy nie, a za taką książkę, gdybym się na nią zdobył, to miałbym co najmniej nagrodę ministra od kultury albo jeszcze gorzej; zresztą, jakie wydawnictwo by mi to wydało; potraktowałiby mnie jak prowokatora i ubeka...

Szli wolno dalej, z przeszła na przeszło i mostu ubywało i już niebawem mieli stanąć na twardym pewnym gruncie; już mi trudno czytać, biorę się do czytania z obrzydzeniem; wygląda na to, że tylko to śmietnisko zostanie w literaturze i ono będzie literaturą, te setki stron, tysiące wierszy, wspomnień, dzienników, zapisków, pamiętników, wszystko uduchowione i szlachetne, te cierpienia, przyjmowane z obleśnym zadowoleniem; ile lat trzeba się będzie jeszcze tym karmić; te grudniowe noce, wojny wypowiedziane całemu narodowi, koniecznie całemu, czołgi, kajdanki, wozy opancerzone, te wojska, co wyszły na ulice, wszystkie te rekwizyty, nawet sny ludzi w stanie wojennym, nawet spostrzeżenia dzieci dla potomności; ten specjalny język, którym trzeba się obowiązkowo posługiwać, by się zmieścić; przecież to jest nasza nowomowa; te interny, ubecje, czerwoni, bolszewie, bibuły, te kotły, naloty; nawet ci, co siedzieli w ośrodkach czasowych, w pokojach bez krat, mówiąc o tych pokojach, mówią cele, mówią obóz; tu nie wystarczy, że ich pozbawiono wolności, ważny jest kostium; czytam to wszystko i rzygać mi się chce i nie widać na horyzoncie cienia jakiejś myśli; to jest rzucanie butelek zapalających na armatki wodne i z tego nie wolno się wyłamać, bo tu nie ma tolerancji; patos wyklucza tolerancję i przecież już coraz bliżej do uprawiania beznadziejnej propagandy; już o krok od tych samych metod, już o krok od tych samych chwytów, które stosuje druga strona i już bardzo blisko tej samej mentalności, szablonu, blisko tego samego ogłupienia i totalu; było takie pismo, które miało odwagę mówić o tych sprawach; zakrzyczeli, że to ubecka robota i nie wiem, czy jeszcze wychodzi; rzygam tym wszystkim, a sam mam tu także swoją działkę i udział, ale zostawię to chyba w cholerę, chociaż trudno coś zrobić w pojedynkę; zostawię w cholerę to całe bicie piany; jedyny program, który się powszechnie przyjął, to ten pomysł z dwoma palcami, które się w kółko pokazuje, ten nasz sposób salutowania...

Zatrzymali się na moment, by odpocząć nad barierą; chętnie bym wrzucił do wody jakąś monetę, powiedział któryś, może mi to pozwoli wrócić do paru spraw, bo albo dalej spokojnie się uważać za arystokratę literatury, albo się wreszcie przyznać, że ten zaścianek literacki to ja, ta szlachta szaraczkowa; taka jest nasza literatura, a to skomlenie zza krat, pomieszane z tępowym i groźnym popiskiwaniami o wiośnie naszej wydaje nam się poematami; wyhodowaliśmy w sobie cenzorów, którzy przerośli nas i nasze myśli i to oni piszą za nas o tym kraju; nam wystarczy od czasu do czasu paczka zza granicy z kilogramem cukru, kilogramem mąki i pastą do zębów; chętnie byśmy taką paczkę oprawili w ramy, bo taka paczka, to dla nas dowód, że Europa pamięta o literatu-

rze polskiej, że ją podziwia; wspaniałych nas i ten zgnojony wspa-
niały naród, który opisujemy przecież własną krwią na tak zwy-
nych kartach, a przecież te karty to blotki, blotki; to nasz cenzor
rozdaje te karty; to ten cenzor nie pozwolił mi napisać, że nie
chciałem jakiejs legitymacji kombatanckiej; każdemu, kto siedział
w moim więzieniu wręczano taką legitymację; pamiątka na całe
życie, mówili ze wzruszeniem, przepustka do historii, mówili histe-
rycznie, projekt graficzny starannie dopracowany, a poza tym
półskórek...

I doszli do przystanku tramwajowego na moście, który łączył
oba brzegi i nagle przestali mówić, jakby poczuli twarde gruntu
pod nogami; jeden z nich wskazał na olbrzymi budynek, nad
którym szamotała się rozlewna czerwona flaga, a wokół mrowili
się młodzi mężczyźni w białych czapkach; jeden z nich wskazał
na ten budynek; i dalej będziemy o tym jak oni tam siedzą
i kombinują, który wariant zastosować, ale jakby co, to my
umrzemy na stojąco, a nie na kolanach; zazgrzytały koła; na
przystanek wtoczył się tramwaj w czarnym welonie dymu; wi-
docznie kobieta w tramwajarskiej czapce, spadającej jej na oczy
machnęła na to wszystko ręką i teraz patrzyła przed siebie
obojętnie nic nie mówiącym wzrokiem; oni wsiedli do wagonu
i tramwaj zaraz rozplynął się w czarnej mgle.

Siedzieli potem w milczeniu; jeden z nich schował gazetę,
a drugi wyciągnął kolejnego papierosa i skruszył go w palcach;
tego dnia był to dwudziesty papieros, którego nie zapalił podczas
długich godzin na ławce.

Jarzeniówka syczała pod sufitem, światło uderzało, a potem
gąsło w oczach; na korytarzu pojawił się mężczyzna w kombine-
zonie; szedł szybko w ich kierunku, a gdy ich mijął, zatrzymał
się nagle.

— Na moment — odezwał się nie patrząc na nich.

Podnieśli się zdziwieni; jeszcze, jeszcze dwa kroki, mówił
ten mężczyzna, a gdy stanęli nieco z boku, on odsunął ławkę;
za oparciem były w ścianie małe metalowe drzwiczki, które
otworzył; wyjął z kieszeni śrubokręt i zaczął nim manipulować
wśród jakichś kabli, stuknął w sítěczko mikrofonu, potem popa-
trzył na nich i znów na te kable i wzruszył ramionami; co oni
mnie tu dupę trują, powiedział do siebie, wszystko jest gites;
zatrzasnął drzwiczki, dosunął ławkę i ruszył swoją drogą; jeszcze
tylko obrócił się na chwilę i rzucił przez ramię, milczki.

A potem drzwi się otworzyły i stał w nich tamten, który
kazał im czekać; tak się złożyło, powiedział, nawała pracy, tak,
że dziś chyba damy sobie spokój i ewentualnie, w razie jakby,
to tego; stuknął palcami w futrynę drzwi i zamknął je za sobą.

Oni ze zmęczeniem i ulgą schodzili powoli w dół; już miałem ochotę na to, powiedział jeden, zgrabna sytuacja do opisania, ale pomyślałem, że ty masz na to ochotę; zesli na półpiętro i skręcili ku szerokim schodom; miałem na to ochotę, tylko że nie pomyślałem sytuacja, pomyślałem, że to fabułka i pomyślałem też, że zostawię ją tobie, że masz na to ochotę, powiedział drugi, a poza tym, że uzgodnimy to po wyjściu...

I obaj zaczęli się śmiać i śmiali się, a potem byli w pomieszczeniu, w którym za zmętniałym szkłem siedział dyżurny i śmiali się dalej; pod ścianą stał blady taksówkarz i mamrotał do siebie; musiał wchodzić, jak nie wchodził, jak wchodził, cztery dwieście mnie wybiło, cztery dwieście, cztery dwieście; to na pewno go pan nie widział, krzyknął z rozpaczą do dyżurnego, ale ten patrzył na śmiejących się ludzi i ściągnął daszek na oczy i wyżej podniósł głowę, bo teraz widział ich tylko do kolan.

— Ca się tak śmiejecie? Ca? Z kogo się tak śmiejecie?

— Z siebie samych się śmiejemy — odpowiedział jeden.

I cicho zamknęli za sobą ciężkie drzwi.

— No — pogroził za nimi kułakiem dyżurny. — No. Świrusy, ca? — odwrócił się do taksówkarza.

— Nie, nie, to z Gogola — mruknął odruchowo taksówkarz.

PŁONIE TEATR NARODOWY

Nad teatrem narodowym łopocze chorągiew ognia i zduszona ginie w dymach. Ponad oparzeliskami dachów kołyszą się jak czarne żagielki ufne gołębie i rozpaczliwie wypatrują dawnych miejsc.

Na skraju dachu kilku strażników ze sflaczałym węzłem czeka na wodę. Balansują nad czeluścią i wyrzucają w górę nogi, jakby tańczyli kankana, ale to tylko pali ich w stopy rozgrzana blacha. Strażnicy patrzą mimochodem tam, w dół, ku zamartwiałemu podziwu oczom. Teraz te liczne oczy okrywa mgła zgrozy, bo jeden ze strażaków, który zrobił mniej przemyślany krok, zaczyna zabijać rękami, jakby się chciał rozgrzać, ale ci na dole widzą, że macha rękami, by odzyskać równowagę i życie, które oddała się na niebezpieczną odległość; jęk ulgi płynie nad głowami tłumu, bo strażak w ostatnim mgnieniu zdołał się uchwycić zwiotczałego węzła; wyprostował się i obojętnie splunął w ogień i rzucił w dół szybkie spojrzenie.

Bijące w górę dymy podtrzymują niskie niebo.

Na placu pod teatrem nieruchome czerwone samochody i żółte polewaczki z przytwierdzonymi z przodu niepotrzebnymi pługami śnieżnymi; dowożą z miasta wodę. Wśród samochodów i kłębowiska węży miotają się strażacy w olbrzymich kaskach; od tłumu odgradza ich koronkowy kordon milicjantów. Milicjanci są młodzi i żądni i w ich oczach, skrytych pod daszkami czapek, czai się ciekawość i rozpacz, bo na moment nie wolno im się odwrócić w stronę szalejącego pożaru i ani na krok ruszyć przed siebie. Więc stoją jak we śnie, wpatrzeni chciwie w twarze ludzi i w tych twarzach usiłują odczytać, co się dzieje za ich plecami. Ale nie widzą grupki aktorów w fantazyjnych kostiumach, których płomienie przepędziły z próby; udzielają teraz gorączkowych

wywiadów do kamery; stoję, a tu scena się unosi i nagle fuuuch, to ja chooodu. I teraz tu jestem i się nie ruszę.

— A ja nawet buty straciłem, butów nie mam, o, buty straciłem — uparcie wskazuje na buty inny. — Butów nawet nie mam, tak, czy nie. I taka robota.

— A ja to, szczerze mówiąc, znowu myślałem, że to wentylacja została włączona i krzyczę, żeby wyłączyli wentylację, ale gdzie tam, żadna wentylacja, dajcie spokój.

— Przecież to nasz dom się pali! — krzyczą teraz aktorzy i skupiają się jak stadko egzotycznych ptaków i ten ostatni okrzyk przelatuje pomiędzy czujnymi milicjantami i dociera do tłumu; ludzie kiwają z aprobatą głowami i patrzą na siebie porozumiewawczo, tak jest, tak jest, ogień to żywioł, tak jest, co by nie powiedzieć.

— Czerwony kur, z przeproszeniem.

— Ludzie — mówi ktoś nagle w tłumie — ludzie, a wiecie, że o dziesiątej rano wolna europa podawała, że się pali, to ja przylatuję, a tu się pali od wpół do pierwszej. To skąd oni wiedzieli o dziesiątej? Bo im zapodała wcześniej ekstrema, że będzie podpałała, ale się spóźniła. Wszystko jasne. Podziemie podpaliło. A jak. Skąd by wiedzieli...

I ludzie odrywają wzrok od ognia, opuszczają głowy i oswajają oczy z nagłym mrokiem i szukają tego, który mówił, ale on pojawia się w innym miejscu, wypływa wśród tłumu i tłumaczy gorączkowo, pokazując za siebie; tamci słyszeli, jak o dziesiątej rano wolna europa podawała, że się pali. Mogą potwierdzić. A ogień poszedł wpół do pierwszej, tak? Wszyscy słyszeli.

— Niby tak — odpowiadają niepewne głosy.

— No to co tu zachodzi?

— Ja wiem, co zachodzi? — zastanawia się ktoś głośno.

— Ekstrema podpaliła. Podziemie! Proste, nie?

— Jakie podziemie, jakie podziemie! Wiadomo, kto podpalił. Ludzie Mijala. Wszyscy to panu powiedzą.

— Przecież Mijał zapuszkowany. Pisali w gazetach.

— Akurat. Pan to jak małe dziecko. A nawet jakby. On ma siatkę na całą Polskie. Niejeden teatr narodowy pójdzie teraz z dymem. Najpierw był zamek, teraz teatry, a potem... Od rzeźmyczka do koniczka, ja to mówię.

— A Kuroń to mówił, żeby nie palić kumitetów. Tylko budować kumitety — mówi ktoś i kamienieje ze strachu i wybucha nerwowym śmiechem, nad którym nie może zapanować.

— Podziemie podpaliło!

— Co on za głupoty pierdoli! To prowok...

— Różnie to mogło być — kombinują ludzie. Zaraz jak poszedł ogień, to tu widzieli w przebraniu Bujaka. Tak jest.

— Kto widział?

— Wszyscy widzieli...

— Pan widział?

— Ja akurat nie widziałem, bo się spaźniłem. Ale wszyscy widzieli. W mundur był przebrany dla niepoznaki. I z bródką. Bokiem się przemykał.

Błony dymów rozstępują się nagle z trzaskiem i strzelisty płomień uderza w chmury. Jęk toczy się ponad głowami i nagle od grupki kobiet odrywa się sieroce zawodzenie; Boże coś Polskie przez tak liczne wieceki; chór rośnie i pieśń płynie jak dym, ale po chwili załamuje się, słowa się rozczepiają i znów słychać poróżnione głosy; nie wolno, ksiądz prymas zakazał śpiewać racz nam wrócić ojczyznę wolną, to co, że zakazał, jak nie ma wolnej, śpiewać jak leci, nie śpiewać, śpiewać pobłogosław panie, ksiądz prymas mówił, żeby nie śpiewać tak, tylko tak śpiewać; dym tłumy rozedrgane głosy, ludzie patrzą, jak po strzelistej drabinie schodzą ostatni pogorzelnicy, którym ogień odciął drogę i cierpliwie czekali w oknach na ratunek; u stóp drabiny stoi dowódca i cierpliwie poucza okopanego strażaka, strzegącego tej jedynej drogi; wpuszczać nie wpuszczaj, wpuszczaj, wpuszczaj nie wpuszczaj! Strażak pręży się karnie, bo czuje na sobie liczne spojrzenia i niepewnie patrzy w tłum; te strażaki, to teraz jakieś takie, dawniej, to takie ładniejsi byli, jędrniejsi, a teraz, to jakieś takie i ubierają jakieś takie jaskrawce, ładniejsi dawniej byli...

— No bo kapusta z grochem. I więcej wapna było na zęby. Teraz mniej. Nieosiągalna jest ta kapusta z grochem.

Pijany o tak wczesnej porze mężczyzna unosi nad głowę niemowlę w ortalionowym beciku i pokazuje mu pożar; niech się uczy gnojek od maleńkości, tłumaczy cierpliwie sąsiadom; ruchliwe dziecko w śliskim stroju nieustannie wymyka mu się z niepewnych dłoni; jak piskorek jaki, jak piskorek, szepcze z podziwem mężczyzna, a obok dwie młode dziewczyny, podniecone przez tłum, zupełnie jawnie czytają wymiętą podziemną gazetkę, oporniki, przypięte na piersiach, unoszą się szybko i opadają, tu, mówi jedna z płomykami na policzkach, tu, Solidariusz wygrał! Widzisz? Solidariusz wygrał! Zaczęło się w osiemdziesiątym trzecim roku, kiedy pan Jagiełło postanowił nadać swojemu synkowi imiona Przemysław Solidariusz. Rada Narodowa odmówiła rejestracji, powołując się na opinię Komisji Kultury Języka. A tam nastąpił rozłam. Przewodniczący, profesor Szymczak sprzeciwił się imieniu Solidariusz, natomiast wiceprezes i dwóch członków prezydium poparli ojca dziecka. Sprawa poszła do Naczelnego

Sądu Administracyjnego. Pan Jagiełło wygrał, ale Rada Narodowa nadal odmawiała rejestracji. Odwołanie i znowu, mimo zacieklego oporu prokuratora, sąd uznał rację ojca. Wreszcie ugięła się też Rada Narodowa i chłopczyk oficjalnie został Solidariuszem.

— Rosną nam obrońcy — mruczą z podziwem ludzie. — Niczego się nie boją. Teraz oni przejmą pałeczkę. Przystawiają pałeczkę. Myśmy się już dość nawojowali.

— Starzy też tak łatwo nie złożą broni. Szkoda gadać. Jeszcze swoje pokazemy. Pałeczka pałeczką. O, tu, godzinę temu będzie, jak kobiety zaczęły układać krzyż kwiatny, na oczach milicjonierów układały, ale kwiatów tylko na jedno ramię starczyło. Na oczach milicjonierów! Jakby było więcej kwiatów, to byśmy im pokazali, gdzie raki, tego, no...

— Taki ogień!

— Sami podpalili i teraz będą udawać, że wody nie ma na gaszenie. Pługami wodę wożą! Pługami!

— Różnie mogło być. Dyrekcja w każdym razie o niczym nie wiedziała, bo głównego dyrektora żelazna kurtyna przecięła na pół, przy świadkach; tam jest taka żelazna kurtyna na wypadek pożaru, co teraz jej nie ma, bo się stopiła; dyrektor się rzucił, żeby ją spuszczać i ogień odgradzić, ale sznurki się przepaliły i dup, przecięło go jak stał, na dwie równe połowy; jedna połowa została w ogniu, druga we wodzie, co ją straż naląła. Takie nieszczeście!

— To jest kara boska. Bo ten dyrektor mówił w radiu dwa lata temu, że Witkacy sobie odebrał życie na wiadomość, że Niemcy wkroczyli do Polski. I to jest kara boska. Dwa lata życia mu jeszcze zostało od tego momentu i tak się nacieszył za kłamstwo. Dociągnął akurat do stulecia urodzin i fertig.

— Anielskie skrzydła w magazynach całkiem poszły z dymem.

— Husarskie, nie anielskie.

— Jakie husarskie, co pan za farmazony wciska. Anielskie. Już nie mówiąc, że ludzi się popaliło moc. Nie zdążyli uciec i na węgiel się popalili. I to ludzie na poziomie.

— Od tamtej strony, to kobiety mają portret świętego Floriana. I tam się mniej jakby pali. W tej sytuacji żadna straż nie pomoże. Nie ma co gadać. Tu się już nic nie wystoi. Zaraz idę do domu, tylko czekam, żeby się opera zajęła.

— Nie ma ratunku. Tak to jest, jak brat podniesie oręż na brata.

Podmuch wiatru uchylił nieco dym i ludzie znów unieśli głowy na zdrętwiałych karkach i zobaczyli strażaków z wyprężonymi węzami i srebrzyste cięciwy wody, które wybiegały im z rąk. I ludziom śmiały się oczy i niechętnie odrywali je od obrazu,

kiedy nagle rozległy się szmery i podniecone głosy; z tłumu wysłiznął się maleńki Japończyk z błyszczącą kamerą filmową w dłoniach; unosił obiektyw w górę i cofał się, bo kamera przeważała i trudno mu było utrzymać równowagę; siogun, siogun, oderwały się od tłumu okrzyki, ty, siogun, sepuku sake san... A Japończyk odwracał twarzyczkę, pomarszczoną jak rajskie jabłuszko i kłaniał się ludziom; to telewizja japońska. Ona wyświetli całą prawdę; Japończyk potakiwał miarowo, Walesa, Walesa, mówił do bliżej stojących, Walesa, Wawel, Fibak, a oni podnosili ręce z rozczapierzonymi palcami, kiwali głowami ze zgodą toranaga, toranaga, kilder, ja, ja, guten...

Japończyk cofał się teraz z obawą, bo ktoś schwycił go za rękaw i gorączkowo zaczął mu wykrzykiwać w twarz: my się nie damy, powiedz pan to swoim, bo oni nas tak, a my ich znowuż tak, oni nas od tyłca, a my ich z boku i pożarami tych naszych przybytków też nie wygrają, a Japończyk cofał się w tłum i zasłaniał się długim obiektywem kamery; ten człowiek posuwał się za nim wytrwale i nachylał się nisko do ucha i szeptał teraz w tajemnicy, mówi się, że to Pękala zbiegł z więzienia i szuka pomsty...

Na krawężniku, na kawałku papy, siedziała kobieta o rozwodnionych rysach, była tak otyła, jakby ją zanurzono w pęcherzu z nieprzejrzystą cieczą; pod ręką miała maleńki dziecinny fortepianik z plastyku; opuchłymi paluszkami gmerła wśród klawiszy i śpiewała, a ludzie wrzucali monety do barwnej puszkii po kuli, która stała u jej gumiaka z pękniętą cholewą; wtem do celi klawisz wpada i zaczyna więźnia bić, młody więzień na twarz pada, serce mu przestaje bić, my internowani, nocą wywlekani... monety wpadają do puszkii i wystukują rytm; ktoś szarpie pijaczka, po-grążonego w fioletowym śnie na parkowej ławce, panie, wstawaj pan, najciekawsze pan prześpisz; to dobrze, z drugiej znowu strony to dobrze, to musi wstrząsnąć sumieniem Europy, słyhać słowa, a pijaczek podnosi na moment powieki i odsłania białe oczy i szepcze, ty mnie wyrzeźb cierpiącego...

— Tego tak nie można zostawić i tu grupa byłych internowanych przygotowywała list protestacyjny do władz, ale podpisy zbierali tylko pomiędzy sobą, obcych nie dopuszczali; strażacy rozkładają kolejne drabiny i rozwijają chude węże; od tamtej strony, od tamtej, doradza im ktoś z tłumu; z kraja zajść i w samo jądro źródła ognia; dym otula strażaków i wchłania głos rozszałatego mężczyzny, który grozi im kułakami i wyrzuca z siebie razem ze słowami strzępki różowej piany, pacholki reżimu, pacholki reżimu jedne... janczary...

Tłum kołysze się teraz niespokojnie i odwraca się na chwile

od pożaru, bo jezdnią pomyka kawalkada czarnych czajek i woąg; za mrocznymi szybami bieleją okrągłe twarze ze skośnymi opuchniętymi oczyma, wpatrzonymi posepnie przed siebie; krucze auta znikają po chwili za zakrętem, gonione krzykami, drwiną i przekleństwem.

— Koniecznie, ale to koniecznie trzeba zawiadomić Wajdę, żeby przyjechał ze sprzętem; on to będzie mógł potem wykorzystać w filmie, ten teatr narodowy, a dziś przecież jest rocznica marca i nikt mi nie powie, że to jest przypadek, słycać gorączkowy głos i widać gest dłoni, która strzepuje z policzka łzę. A ludzie obok mrużą oczy, porażone białym światłem; ktoś robi zdjęcia z lampą błyskową, która obrysowuje płomień i dymy na tle nieba.

Na ławce, obok pogrążonego w malignie pijaka, przysiadła boczkiem kobieta z wymiętym hot dogiem w palcach; na kolana cieknie szary sok z pieczarek, ale ona tego nie zauważa i gryzie rozmoczoną bułkę i mówi do uśpionego, z Kielec przyjechałam, no i całe pół dnia chodziłam po mieście, bo myślałam, że gdzieś napotkam generała i nie napotkałam go, a tak chciałam, a tak liczyłam, nogi schodziłam, to chociaż tu się nacieszę, bo z Kielec przyjechałam, ale ze samych Kielec; a on unosi powiekę i patrzy na nią przytomnie i odpowiada, tak, tak, robota, to głupota, picie, to jest życie. Ale za to Włosi pięknie pokazują miłość; i głowa wolno spływa mu między poły płaszcza.

Z dachu sąsiedniego domu podrywa się nagle migotliwy biały rój, przez chwilę obniża lot nad placem, ale potem, wessany oddechem gorącego powietrza, mknie w górę i niknie w skrzepach dymu; kapeen walnął ulotki, informują się szeptem ludzie, to kapeen; milicjanci kręcą się niespokojnie, ale nie wolno im zmienić miejsca, więc tylko łakome oczy przetrząsają tłum, a wzdłuż kordonu wędruje stara Cyganka, poznaczona wrzaskliwymi kolorami i łasi się z nadzieją do bezrobotnych funkcjonariuszy; ty, rudy, daj na ciężę, daj, rudy, na ciężę...

— Biuro koordynacyjne wydało już komunikat w tej sprawie, byli tu tacy, co słyszeli z nasłuchu — mówi mężczyzna i gorączkowo zaciera dłonie.

Budynek teatru jest teraz starannie skrępowany wężami, strażacy jak akrobaci wspinają się bez trzymania po drabinach i gdy mijają okna, z wściekłością walą toporkami w szyby; zaćmione szkło sypie się rześiście na gzymсы.

— Ja to mówię, że tu by trzeba dla porządku straż kościelną wprowadzić na teren. Bo ja mam w domu czapkę straży kościelnej, to mógłbym po nią skoczyć w try miga, co nie?

A strażacy, popędzani przez olbrzymie oko tłumu, nikną, jeden za drugim, w pluszu dymu.

Po nieruchomych twarzach przemykają się fioletowe promienie ze światełek, które kręcą się na dachach samochodów; oczy zapalają się i gasną, zziębnięci ludzie mechanicznie przytupują; człowiek tu musi sterczeć na tym zimnie. Tamci przynajmniej w ciepłe. A tu, na dole, jak w psiarni. Jak w psiarni.

— I najgorsze, że prawdy się nie dojdzie, jak to się mówi. Wszystko zakryją przed opinią publiczną, jak to się mówi.

— Ja to w ogóle, prąpanią, nie rozumiem, co oni widzą w tym marksizmie. I w tym, prąpanią, leninizmie.

Płonie teatr narodowy, skamieniały tłum trwa u stóp i tylko jeden człowiek zaczyna się przebijać z okrażenia; ludzie ustępują niechętnie; gdzie, gdzie, jeszcze się nie skończyło, dokąd...

— Lecę do chaty, zaraz będzie pierwszy dziennik na telewizji. No to lecę. Bo oni na pewno będą ten pożar pokazywać...

JESZCZE POLSKA ?

Dzwon rozdziera powietrze ponad tęgą kamienicą kościoła, płochliwe jerzyki śmigają na tle tynków jak czarne refleksy świetlne, a w dole jest plac, jest coraz to większy, bo z wnętrza kościoła płynie masywny tłum, a potem rozlewa się nieforemnie we wszystkie strony i cięższe bezradnie i traci energię; w ciepłe oddechów unosi się już w górę mrok i wchłania mury i pnie się wolno ku wieżom, aż stłumiony dzwon dogasa.

Tłum jest sam.

Tłum jest sam i nie wie, co ze sobą począć, gdzie się skierować, na kogo huknąć i czego naprawdę zażądać. Jest zmęczony, wymięty i niezdecydowany. Jest to tłum inny i ludzie spoglądają na siebie z niedowierzaniem.

Nieliczni jak drobinki odrywają się od tłumy; ukradkiem wypinają z odzieży barwne znaczki, orzełki, których korony mogłyby kłuć cudze oczy, zwierają posłusznie palce i zręcznie lawirują między zwartymi szeregami milczącej milicji; pomykają ku pobliskim przystankom; chcą się zaszyć w domach i zapomnieć.

Tłum tkwi nieporuszenie.

Ludzie pilnują się wzajemnie; nie rozłączyć się, nie rozbiegać, stać tu i stać; w końcu jest okazja, coś by można było załatwić...

— Ale co załatwić...

— No, pozałatwiać wszystkie sprawy...

— Ale jakie sprawy...

— No, omówić...

— Ale co omówić...

— No, ustalić...

— Ale co ustalić...

— No, o wszystkim zdecydować...

— Ale o czym zdecydować...

- No, uzgodnić wszystko...
- Ale z kim uzgodnić...
- No, z nimi...
- Z tymi...
- Z tymi nie... Z tamtymi...
- Uzgodnić to by trzeba jak najbardziej...
- Obowiązkowo wysunąć...
- Obligatoryjnie, obligatoryjnie...

Z mroku, nie wiadomo skąd, płynie ku tłumowi wzmocniony chrapliwy głos; rozejść się spokojnie do swoich domów, nie gromadzić się, rozejść się, bo w przeciwnym wypadku będziemy musieli użyć; rozruch się szykuje, szepcze człowiek, rozruch...

- To może już?
- Co już?
- Jeszcze Polska?
- Jeszcze Polska?
- No...
- Jeszcze nie, jeszcze nie...

A w bezpiecznej odległości kuli się za szybą okienną zgarbiona sylwetka; zgłasza się Meduz, zgłasza się Meduz; chyba będzie to szło, bo się zgromadziło i teraz stoi, ale chyba będzie szło; niebiescy to obstawiają i kontrolują; na razie to nie lży i nie urąga, nie wznosi; na razie to śpiewa zwróć nam Panie, coś koło tego, ale nierówno, nierówno; to w tej zaistniałej sytuacji może by wodę dać, jak to ruszy, może niech woda idzie dla strachu, bo niektórzy się śmieją, gapią się, o, już niektórzy wnoszą i tam jest nasze oczko i on utrwała to wszystko, a teraz słyszę, że nie rzucim ziemi i coś dzieci sowiecił, nie będzie, babska i młodych widzę, rozczapirzają paluchy nawzajem do siebie i się śmieją; widzę jednego z oczkiem, utrwała to, ale to nie nasze oczko, on kolorowy, pstrokaty jak papuga, to jego utrwali nasze oczko i trzeba go sprawdzić poza obrębem; niebiescy stoją spokojnie i oczekują, aż to będzie szło i jak to będzie szło, to niech idzie woda dla strachu...

Ponad tłumem coraz wyraźniej pienia się głosy, na odkrytych głowach osiada perlista mgła, zawieszony w mroku helikopter tępo miele gęste powietrze; dziadek, pyta nagle dziesięcioletni chłopiec, dziadek, a tego, jak to było za Wałęsy; za Wałęsy, żeby tak prawdę powiedzieć; stary człowiek z wysiłkiem wyteża wzrok; żeby tak prawdę, to nie można powiedzieć, było tak. Było tak i tak. Rozmaicie było. Przerozmaicie było; i tak i tak. Tak było. Gdzieś tak.

A z boku anonim z agencji prasowej układa sobie w myślach zdania na jutrzejszy ranek i pyta sam siebie, kto pchnął do de-

monstracji tę garstkę zdeorientowanej młodzieży, a właściwie dzieci; jacy mocodawcy kryją się tchórzliwie za młodymi plecami, jaką brudną pieczeń chcieli upiec na polskim ogniu; do czyjej kieszeni Geremka i Michnika popłynął szeroki strumień bońskich marek, londyńskich funtów, waszyngtońskich dolarów i innych walut wymiennalnych; znamy wszyscy dobrze odpowiedź na te i inne pytania, które cisną się nieodparcie na usta szerokich rzesz oburzonych obywateli, którzy w przytłaczającej większości dają każdego dnia niezliczone wyrazy; burzycielom dialogu i zwolnikom gwiazdnych wojen rzecznicy porozumienia narodowego mówią swoje stanowcze nie; anonim z agencji prasowej rozgląda się ostrożnie i widzi nienawistne twarze, które napawają go wstrętem; jeszcze tak niedawno musiał się publicznie kajać przed tymi ludźmi, musiał składać zażawione obietnice i wie, że nie zapomni tego upokorzenia, że już nigdy nie wyleczy się z dławiącej nienawiści. Boi się tego tłumu i lęka się przyszłości.

Wspólne milczenie jest groźne i dziennikarka zagraniczna też się boi tłumu i patrzy w tłum z obawą i już nie wie, czy te twarze, które bieleją w mroku, są dzikie i azjatyckie, czy łagodne i mądre europejskie; ten tłum fascynuje ją i podnieca; jest w nim, a jednocześnie ogarnia te tysiące; widzi dwa, potem widzi cztery, widzi pięć i dziesięć tysięcy; przycisnęłaby je do piersi i nawet nie zwraca uwagi na złowrogą niebieską szpaler, bo jest zachodnią dziennikarką, bo jest nietykalna i niczego złego nie uczynili jej przecież komuniści w Nikaragui, nie zdeptano jej też podczas karnawału w Hawanie, więc musi rozgryźć i ten kraj; myśli przelatują jej przez głowę i nie może się na razie zdecydować na żadną z nich; kłęska, która nie jest kłęską, zwycięstwo, które nie jest kłęską, kłęska, która jest zwycięstwem, kłęska, która będzie zwycięstwem, zwycięstwo, które będzie zwycięstwem i widzi jakąś starą kobietę, którą wlecze pod rękę równie stary i sterany mężczyzna i słyszy jak ta kobieta wykrzykuje jakieś słowa w tym dziwnym niepojętym języku, który jest jak zeschnięty bluszcz, w języku, który ciepło szeleści w jej spierzchniętych wargach i dziennikarka uśmiecha się do tej kobiety przyjaźnie i potakuje z werwą i żga powietrze widełkami z palców; ludzie, wykrzykuje ta kobieta, ludzie; jeszcze wam źle, ludzie; czego jeszcze byście chcieli? Po dwa telewizory może? Po trzy telewizory? A były przed wojną te telewizory, czy nie były przed wojną te telewizory? Nie były! To czego?

— Cicho. Suko — mówi ten mężczyzna. — Wstydu nie masz za grosz...

— Suko. Suko. Zaraz suko. Ile tych telewizorów ma być. W końcu.

Obrzeża tłumy obstawione są strażą kościelną w wysokich czapkach, które z daleka przypominają czaka ułańskie; straż uważnie penetruje tłum; niektórzy ze strażników stoją nieruchomo i bez słowa wpatrują się w zomowców; zomowcy bez słowa wpatrują się w nich.

— To może już jeszcze Polska?

— Co?

— Jeszcze Polska?

— Jeszcze Polska, jeszcze Polska! Jeszcze nie...

Głosy niosą się na wskroś tłumy i tłum tkwi i czeka i nie posuwa się o krok; hełmy połyskują w niebezpiecznej bliskości, ale na razie są nieruchome jak bruk i trwa to czekanie i nagle w tłumie poruszenie, bo gdzieś z koron drzew czy od dachu kościoła odrywają się stłumione słowa i sypią się wśród ludzi; co on mówi, co on mówi, ten głos; to podziemie mówi z taśmą, to taśma; ale co ono mówi, co ten głos:

będziemy obchodzimy nie złożymy święto pamiętamy
uroczyście jak zawsze sierpniowe musimy święto
grudniowe damy święto nieugięcie nasza odpowiedź
zdobycze święto podejmiemy uroczystość wspólne
scisiemy święto trwamy odrzucamy przypominamy
święto zewrzemy postawimy staniemy święto
święteczne święto urocz urocz uro.

To idziemy, czy stoimy; jak w końcu ma być, pytają ludzie głosu, ale głos nie słyszy; słowa błędzą w tłumie, a echo unosi dźwięki na powrót w górę, w mrok, w mgłę; słowa omijają poetę; poeta nie słucha, bo ze wszystkich sił układa teraz wiersz, który da świadectwo, że poeta pamięta; biją dziś dzwony, biją na trwogę, wokół kościoła tłok, w ludziach znowu nadzieja gore, chociaż nad nimi czerwony smok, lecz próżno chłoczce ogonem czerwonym, próżno śle na nas watahy; i poeta przestaje na moment, bo umyka gdzieś rym do słowa watahy; jaki będzie rym do watahy; może lepiej kohorty śle, ale jaki będzie rym do kohorty, kohorty — mordy, kohorty — z nami chodź ty, kohorty — raporty; może tabuny, tabuny, a przecież tę Polskę trzeba jeszcze ująć, tę Polskę... może sotnie — popołudnie sobotnie; ale dziś nie sobota i już wieczór i tę Polskę trzeba ująć, więc poeta zostawia to na później, a na razie buduje sobie ze słów zwieńczenie i powtarza te słowa z mocą, powtarza, by ich nie uronić; nie ciesz się, nie ciesz, czerwony smoku, od dawna cię mam na oku...

— To co robimy, ludzie — pyta ktoś nienaturalnie głośno — bo jak nic nie robimy, to trzeba coś zrobić, czy jak; strażnicy w wysokich czapkach, które z daleka przypominają kucharskie

czepce, łowią wzrokiem w tłumie; ludzie z respektem odsuwają się na wszelki wypadek; oni porozumiewają się szybkimi spojrzzeniami i nieznacznymi ruchami głowy; tamten człowiek milknie już bezpowrotnie i tylko ktoś inny, chcąc załagodzić sytuację, tłumaczy przy pochlebnie:

— Ja tam mogę nawet dostać tą pałą. Jeszcze lepiej. Niech się Anglia dowie. I zobaczymy wtedy. Anglia musi powiedzieć stop. Albo jest ta sprawiedliwość, albo nie ma tej sprawiedliwości.

Przez tłum przeciska się zreźnie kobieta; ma na sobie i spodnie i niebieski sweter i zbyt małą czapkę z pomponem na nici, który miota się wokół jej głowy niespokojnie; kobieta szepcze i zagłada stojącym w oczy; dropsy owocowe hungarskie, guma, guma balonowa hungarska, no, dropsy, dropsy owocowe...

— Ja bym tam może i wziął, jak balonowa, ale to też zależy po ile — mruży ktoś do siebie mechanicznie, ale nie robi żadnego gestu i głos kobiety oddala się i dziecko targa z nadzieją rękaw matki, a ona mówi z udręką, nie patrząc w dół, odejdz od tego rękawa, odejdz od tego rękawa, bo cię rozerwę na dwa.

— To co jest?

— Jak co jest?

— Kiedy będzie jakie przemówienie?

— Było już przemówienie.

— Było przemówienie? Kiedy?

— No jak? Było słuchać...

— Kiedy było przemówienie?

— Było nie spać — odpowiada znienacka człowiek i rozgląda się triumfująco i wybucha przeciągłym niepohamowanym śmiechem, który zapiera mu dech.

— No to może jeszcze Polska?

— Jak?

— Jeszcze Polska może?

— Jeszcze Polska jeszcze nie...

Zagraniczna ekipa telewizyjna myszkuje obiektywem w tłumie. Korespondent, obrzucony kolorowym szalem, mruży fachowo oczy i niepotrzebnie pogania kamerzystę. Rób tak, żeby było widać, jak kościół pomaga Solidarności". To ma być widać.

— Wszystko się zrobi.

— To ma być widać. Jak robiłeś więzienie, to miało być widać, że tam siedzą polityczni. I co było widać? Mury było widać, same mury gołe. Nic nie było widać, że to polityczne. Jakieś kratki, jakieś daszki.

— Ja to wszystko zrobiłem — obraża się kamerzysta.

— No to nie ma się co obrażać — mówi korespondent. Jak zrobisz, to dobrze. Widać, że kościół pomaga i współpracuje?

— Widać.

— No to możemy jechać.

— A może jeszcze zaczekamy na masakrę?

— Aha, masakra, masakra. Z tą masakrą...

Tłum tkwi cierpliwie; w mroku szklą się okrzyki i strzępki pieśni; słowa odbijają się od plastikowych tarcz szpaleru i wracają, nie przenikając dalej.

I znowu odzywa się głośnik z dachu samochodu, który wolno objeżdża posterunki i kordony; wzywam do rozejścia pojedynczo.

— Tu nas nie ruszą pod kościołem.

— Nie wejdą na teren. Tu nas nie ruszą.

— Tu nie. Tam nas ruszą.

— Tam tak.

Tłum jest w miejscu, ale chyba niebawem ruszy pod pałki, bo nie pozostaje mu nic innego.

Gdzieniedzie zakwitają transparenty.

Tłum ruszy, ale nikt nie zastanawia się dokąd, bo tłum i tak nie ujdzie daleko.

Tłum wie, że zostanie rozpędzony i nie dojdzie do żadnego celu. Ale tłum ruszy, bo inaczej nie potrafi uczcić dzisiejszego święta. Więc tłum uczci je tak, jak potrafi sam.

Tam, parę kroków stąd, kończy się azyl. Tam jest czarny asfalt i chrypiący głośnik na dachu samochodu. Przed tłumem jest kordon, który przyjmie ludzi.

Twarze obracają się teraz w tamtą stronę, a w bezradnych ludziach wolno narasta wściekłość i rozpacz i strach i coraz więcej ust rozdierają okrzyki.

— Pacholki!

— Zomici!

— Gestapo!

— Bandyti!

— Nieroby!

— Faszyści!

— Niepolaki!

— Czerwona zaraza!

— Pałkarze!

— Sprzedawczyki!

Karne szeregi drgają nieznacznie, ale nie ruszają z miejsca. Tylko przezrocyste okapy opadają z trzaskiem i rośnie w górę szklana ściana tarcz.

Tłum faluje, kołysze się, wzbiera.

I nagle padają pierwsze krople, a zaraz potem rzęsy deszcz

monet; tłum ciska garści bilonu w stronę nieruchomych szere-
gów; monety błyszczą w jarzeniowym świetle jak ruchliwa
ławica.

Szeregi nie cofają się ani o krok; deszcz ustaje powoli, bo
tłum szybko pozbył się monet; ludzie dyszą bezradnie i patrzą...

Od tłumy odrywają się teraz pojedyncze skulone sylwetki;
jest ich coraz więcej i więcej; ludzie patrzą oniemiały; tamci
karnie pochylają grzbiety przed kordonem; są na wyciągnięcie
pałki; przyklękają i przypadają do ziemi i skwapliwie zbierają
monety i upychają je po kieszeniach; starcze palce przebierają
gorączkowo wśród grudek błota.

— Rozchodzić się pojedynczo! Rozchodzić się pojedynczo do
swoich domów! — krzyczy głośnik na dachu samochodu.

Mrok rozjaśniony blaskiem monet powoli gaśnie.

— Ludzie! Co wy? Człowieku!

— Człowieku, człowieku, co człowieku... Ty też będziesz
kiedyś stary. I też będziesz kiedyś żył z gołej emerytury. Sam
zobaczysz. Poczekaj...

— Jakoś trzeba ciągnąć ten koniec z końcem...

Starzy ludzie z obojętną teraz na wszystko sytością chyłkiem
unoszą swój łup w tłum.

— Już?

— Co już?

— Jeszcze Polska?

— Jeszcze Polska? Już.

Tłum rusza.

Z W Y C I Ę S . . .

Ten dzień także nie był odmienny i omywał skrzep placu jak dotąd; ludzie kluczyli między samochodami ku przystankom autobusowym, wdzierali się do sklepów i garnęli się do oblodzonej szyby wystawowej komisju; w witrynie stało radio tranzystorowe, łyśkały azjatyckie łyżeczki do herbaty; w kącie dekorator rzucił skórę węża i kilka bawełnianych koszulek z amarantowymi serduszkami i angielskimi napisami lubię Nowy Jork, lubię Londyn, uśmiechnij się, pocałuj mnie; ludzie bez słowa walczyli o dogodne miejsce i wpatrywali się w te przedmioty, a dziecko błagalnie szeptało do ojca: teraz już chodźmy, teraz chodźmy popatrzeć do peweksów; mamy peweksy najbliższej na Granicznej, na Stawkach, w Intrako, na Piwnej i jeszcze w Europejskim, dwa przystanki trzeba podjechać; a jutro byśmy mogli jeszcze aleje Jerozolimskie, Forum i Polonię...

Przy saturatorze z wodą sodową tkwił nieruchomo zziębnięty sprzedawca w spiczastej czapce z gazety codziennej; napis proletariusze wszystkich krajów biegł mu wzdłuż skroni i ginął gdzieś za uchem, a z kranu saturatora wisiął malinowy sopel lodu, olbrzymi jak stalaktyt; sprzedawca potrzącał go w zadumie jak strunę harfy... Wydawało się, że sprzedawca drzemie z przekrzywioną głową i mamrocze we śnie, ale on wpatrywał się z ukosa w wypolerowany blat saturatora, w którym odbijała się jego czapka z gazety i teksty artykułów i sylabizował powoli, bo słowa odbijały się odwrotnie jak w zwierciadle i musiał je odczytywać od końca... sześć małych słoni — podarowanych — przez — Kubę — dotarło — przy — temperaturze — minus — trzydziestu — stopni — do — zoo — w — Moskwie. — Podróż — statkiem — do — Leningradu — odbyły — otulone — ciepłymi — wełnianymi — derkami. — Z — Leningradu — do — Moskwy — przybyły — specjalnie — ogrzany — wagonami — kolejowymi — a — z — dworca — moskiewskiego — do — zoo

— w — ogrzewanych — samochodach. — Podróż — zniósł — doskonale; malinowy sopel, szarpnięty zbyt nerwowym ruchem, upadł z brzękiem w poprzek notatki, odbitej w blacie; jakby ją przekreślił czerwoną linią... jebiona mać, o, jebiona mać, szeptał sprzedawca białymi ustami, a dzień płynął chybotliwie nad placem i włókł za sobą następne dni i miesiące i lata...

To nastąpiło nie wiadomo kiedy; w jednej chwili u wylotu placu wykwitły białe czapki, dzień rozdarły liczne gwizdki i zagroziły drogę samochodom; ruchliwe białe mankiety oganiały się od nich niecierpliwie, ludzie usuwali się przezornie; autobus wolno wtaczał się w boczną ulicę, a zaskoczeni pasażerowie, uwózni w niewiadomym kierunku, miotali zza szyb nieme przekleństwa i wygrażali bezradnie pięściami...

Plac opustoszał w mgnieniu oka, jakby uderzył weń znienacka wiatr i zapanowała cisza, która zastąpiła tamtą, poprzednią, ciszę, milicjanci pojawili się tak nagle, jakby się wyłonili ze ścian i tynków i otoczyli plac, przechadzając się, jakby od niechcienia, a na wysepce przystanku została grupka ludzi, którzy nie mieli się gdzie skryć, więc stali tu dalej i było im wszystko jedno i nawet nie podnosili głów, by sprawdzić, co przerwało ich dzień; obok zamarta przekrzywiona taksówka, której nie można było przepędzić z placu, bo stała tylko na trzech kołach; czwarte leżało obok, a zdumiony taksówkarz patrzył na nie i pochyłał się i dotykał go czule końcami palców, a potem znów się prostował i kopał je z wściekłością, a przez pusty plac biegła na przełaj zziajana kobieta; ostatkiem sił dopadła taksówki i targnęła drzwiami; taksówka na trzech kołach zakołysała się jak łódź; kierowca patrzył na ludzi długą chwilę, a potem powiedział do nich, jakby to był chłop, to by z niego została tylko kupa gruzu... a tak... i upadł obok koła na kolana i tak zastygł...

Z bocznej ulicy wyjechał zielony autobus, zatrzymał się i w jednej chwili wysypali się z jego wnętrza żołnierze z instrumentami muzycznymi w dłoniach; dowódca pokrzykiwał coś przeciągle jak burfak, a głos formował tę bezładną gromadę i po chwili nie było już ludzi; na placu stał teraz kamienny czworobok i gdy wchłonął ostatnią komendę, zachwiał się i ruszył w poprzek próżnego placu, ku środkowi, gdzie były kamienne stopnie i cokół i olbrzymia postać na tym cokole, w metalowej pelerynie, pokrytej zielonkawym osadem, z metalową książką w lewej metalowej dłoni...

Czworobok zbliżał się do tej postaci i nie zwalniał i gdyby nie nagła komenda, która go zatrzymała w miejscu, mógłby chyba obalić tego metalowego olbrzymia...

Niedaleko ludzi z wysepki stał milicjant i przyglądał się bez ruchu i czekał i nie widział, jak za plecami skrada się jego kolega w mundurze; bezszelestnie przybliżał się coraz bardziej, a potem skoczył ku niemu, walnął go w naramiennik i jak puchacz huknął mu do ucha huuu, a tamtym szarpnęło i błyskawicznie chwycił w pierwszym odruchu za czapkę, jakby się bał ją postradać, a potem za pałkę i pistolet i tak znieruchomiał; kolega popatrzył na niego pobłaźliwie, pokiwał głową i powiedział zaczepnie, co, milicji się boicie i zaśmiał się tak, aż na przystanku ktoś, jak wyrwany nagle ze snu, wzdrygnął się gwałtownie...

Czworobok wojska stygł, złoście refleksy z instrumentów muzycznych tłumił lodowaty kurz, niesiony przez porywy wiatru, a ludzie stali na przystanku i nie zastanawiali się, jak długo będą czekać; stali tu, bo tu się ustawili i było im wszystko jedno; było to miejsce równie dobre jak każde inne, a z tego nikt ich nie przeganiał. Więc stali.

Kobiety ufnie skłoniły głowy ku sobie; i ja mu mówię, że nie będzie tak do mnie mówił, on mi na to mówi, żebym mu nie mówiła, a ja mu mówię, nie mów, co ty, tak mu powiedziałaś, a co on na to mówił, no, tak mu powiedziałam, co mi będzie mówił, ja to mówię, że zawsze, jak to się mówi, no...

Taksówkarz podniósł samochód na lewarku i teraz przykładął bezradnie koło, ale koło za każdym razem odpadało; zna pan o dzieciach i wycieraczkach?, zapytał go głos; dzieci i wycieraczki...

— Wycieraczki?

— Wycieraczki. Żeby włączyć wycieraczki, jak te dzieci.

— Jak? Po kiego?

— No wie pan. Tak. Żeby ta krew. I te flaki z szyby zgarniały. Tę krew.

— Co pan takie głupoty mi pierdoli. Takie jakieś głupoty. Farmazony jakieś.

— Pan to się nie zna na humorze. Ani w ogóle — odpowiedział urażony głos. I zamilkł.

Plac omiotły nagle sine błyski z dachów samochodów; ludzie zmrużyli oczy; błyski osuwały się po ścianach domów i gasły gdzieś w górze, w przepastnej syberii chmur; na plac wsunął się teraz bezszelestnie rząd lśniących mercedesów i wołg i czajek i ład; kierowcy w eleganckich czapkach wyskakiwali i usłużnie otwierali drzwi; plac zaroił się teraz i pokraśniał od kolorowych wieńców; ci, co przyjechali, ustawili się w mgnieniu oka w szereg; każdy znał swoje miejsce w tym szeregu i nikt się nie pomylił; szereg mościł się chwilę w miejscu, kokosił się przez moment, a potem zastygł; konstrukcję psuł nieco wysunięty Mu-

ryzn, który drżał z zimna i te drgawki były tak silne, że nie mógł utrzymać swojego miejsca i miotano nim we wszystkich kierunkach; zaraz jednak szereg wessał go i zapanował porządek; szereg zamarł, wyprężył się i nagle od czworoboku buchnęła muzyka, ale taksówkarz nawet nie spojrział w tamtym kierunku.

— Może coś rzucą na sklepy, jak tak.

— A gdzie. Na to nie rzucą. Nie ma gadania.

— Może na rewolucję rzucą najwyżej.

— Na rewolucję już nie rzucają. Prędzej na odrodzenie. Jak już.

— Do odrodzenia to jeszcze grubo ponad pół roku. Ale rzucą. Na odrodzenie jak najbardziej.

— A! Niech nie rzucają. Jebał ich wielki pies.

Muzyka kołysała się jeszcze nad placem, gdy gruchnęły werble i od szeregu oderwała się pierwsza trójka z wieńcem i ruszyła w stronę zielonkawej postaci z metalu, a werble syptały pod nogi groch; trójkę prowadził żołnierz, jakby ta trójka była niewidoma, choć trzy pary skośnych oczu dobrze znały drogę; wreszcie trójka się zatrzymała, dwóch żołnierzy odebrało wieńiec; długo ustawiali go pod cokołem, a wiatr powiewał czerwonymi językami szarf; wreszcie wieńiec znieruchomiał, żołnierze wyprężyli się, trójka stała chwilę, jakby liczyła do dziesięciu, a potem trzy głowy skłoniły się jednocześnie przed cokołem i trójka odeszła i ustawiła się na końcu szeregu, a od czoła sunęła już następna trójka po grudzie werbli.

— On koniec w końcu też Polak, jak my. Nawet nazwisko na to pokazuje. Już nie mówię imię.

— Jak on Polak, to ja nie jestem Polak.

— Jak nie jesteś?

— Nie jestem.

— To kto jesteś. Turek? Turku jaki!

— Wolę Turek.

— Polak nie Polak — odezwał się przystanek. — W razie czego będzie z niego Sienkiewicz. Tylko mu się więcej książek przyszwesuje pod te pache. I pod te drugie pache.

A kobieta, która próbowała się dostać do taksówki i potem długo stała jak skamieniała, podniosła teraz głowę i zauważyła przed sobą, w głębi placu, rząd równo ustawionych mercedesów i wołg i czajek i ład; rzuciła na te samochody łakomym okiem i nagle ruszyła przez plac w tamtym kierunku, licząc na łatwy łup; była mała i samotna w tej przestrzeni, ale zaraz pojawiły się koło niej dwie większe sylwetki i kobieta gestykulowała i pokazywała ręką na tamte samochody i machała jakimiś barw-

nymi banknotami, ale zaraz zawróciła w stronę przystanku, by się schronić pod zbawczą wiatą.

— Miała wielkie szczęście, że ją cafli, bo jakby tam dalej doszła, to by z niej została tylko kupa gruzu — mówił taksówkarz i przykręcał sinymi palcami mutrę.

Następna trójka liczyła do dziesięciu i potrójna głowa pochyliła się nisko przed metalową postacią, ale metalowa postać nie zwracała na to uwagi i spoglądała zielonkawymi oczyma gdzieś w bok, ponad placem. Rosła pryzma wieńców, wiatr płątał wstęgi z egzotycznymi napisami i mieszały się alfabety i języki, jakby przestały obowiązywać jakiegokolwiek granice.

— Taką straszną biedę mam — skarżyła się wiata — straszną biedę, bo wyobraź sobie, że mi wysiadł telewizor i teraz jestem jak tabaka w rogu; tylko się człowiek o ściany obija, jak jaka ćma.

— Mmmmmm, a teraz bardzo dobre rzeczy dają...

— No co ty powiesz, mówże, mówże...

— Mmmmmm, różności przeróżne, przyjechał gość z Kościerzyny i pokazał, że potrafi naśladować trąbkę, a inny, że potrafi poruszać brzuchem i zawiązać dwieście pięćdziesiąt supełków na pół metrze nitki, albo jeden zagrał paznokciami na zębach i dwóch było, to są chyba bardzo popularni w Polsce, brat z siostrą, duet na dwie szczęki, a poetka z siedleckiego w zapasce śpiewała własną świńską piosenkę, a w programie o hodowli karpia, karp mówił na koniec wesołych świąt, a potem było w wiadomościach, że na Okęcie przyleciało wielu pasażerów, którzy nie mogą zdjąć futer, mmmmmm, i okazało się, że to lisy i ta krzywa redaktorka poszła do klatki i przytykała mikrofon i mówiła dzień dobry panie lisie, jak się pan czuje, co, nie może się pan rozpiąć, co, nie, a ten ani me, ani be, mmmmmm...

— Mój, to już z tego wszystkiego złapał telewizję na radiu i na radiu teraz oglądamy i mówili, że odbywają stosunki w kredensie i widelce dzwonią, te kobiety na to, dobre, ale średnie i w ryk i że osiem godzin rodzina czeka i nieboszczyk, z całej Polski przyjechali, no i co, trumny jak nie było, tak nie ma, a potem, że Wałęsa wbił nóż w plecy narodu, taka bieda, taka bieda...

Trzy głowy pochyliły się pokornie przed metalowymi butami, tak, tak, tak, zapewniały trzy głowy, jakby jeszcze raz składały dożgonną przysięgę, jakby nie były pewne, czy metalowa postać wierzy im do końca.

A potem znów odezwały się werble i następna trójka niosła swój wieniec, kryjąc się za nim przed jadowitym wiatrem, ale ludzie na przystanku nawet nie patrzyli w tamtą stronę; ludzie słuchają kobiety, która obudziła się z uśmiechem w kącie wiaty

i teraz wypatrzyła dwóch milczących mężczyzn i mówiła do nich z łagodnym przekonaniem, chłopaki, chcecie się zabawić; mam dwie córki, dziewięć i siedem lat, zabawimy się, tu mieszkam zaraz, tylko tak się wyskoczyłam przewietrzyć, chodźcie chłopaki, co, nie będziecie żałować...

Oczy wszystkich trójek spoczęły teraz na ostatniej trójce z wieńcem; była to delegacja młodzieży polskiej; ostatnia trójka ruszyła w warkocie werbli; dwóch chłopaków i niosąca wieńiec dziewczyna w kraciastych spodniach; metalowa postać na cokole przyciągała ich jak magnes, a gdy byli już blisko, opuścił ich żołnierz, który tę trójkę tu doprowadził; dwóch innych żołnierzy odebrało od dziewczyny barwny wieńiec i z trudem umieściło go na ostatnim skrawku pod nogami postaci; potem wyprężyli się, a trójka stała i liczyła do dziesięciu; dziewczyna pomagała sobie, wystukując nieznacznie rytm kraciastą nogą, aż wreszcie trzy młode głowy pochyliły się jednocześnie, jakby ci młodzi ludzie chcieli sprawdzić, czy mają wyczyszczone buty, a jasne włosy dziewczyny posypały się na czoło i zasłoniły policzki; szereg patrzył na tych przedstawicieli młodzieży polskiej z dumą i zadowoleniem i dziewczyna czuła te dotykające ją spojrzenia i pokraśniała jej policzki i szli tak wzdłuż szeregu, lekko, jakby ich te spojrzenia niosły, a gdy już ustawili się na swoich miejscach, dziewczyna odetchnęła i zdmuchnęła włosy z policzka, a potem spojrzała na swoich towarzyszy i końcem języka oblizała spierzchnięte wargi...

I znów w niebo uderzyła muzyka, a szereg wyprężył się jak w skurczu i z powagą wysłuchał pieśni; potem szyk pękł, ludzie runęli w stronę samochodów, trzaskały drzwi i błyskały fioletowe światła na dachach i rząd samochodów ruszył, a ta kobieta, która biegła do taksówki, ocknęła się nagle, zobaczyła samochody i zaczęła miarowo machać ręką, pochylając się aż do krawężnika; mercedesy, wołgi, czajki i łady mijały ją, a ona wytrwale machała dłonią; żołnierze z orkiestry chowali ustniki i wytrząsali ślinę z instrumentów dętych...

I nagle znikły gdzieś białe czapki, które odgradzały wjazd na plac i w mgnieniu oka na placu pojawiły się samochody i autobusy i plac się zaludnił, a tamto odpłynęło jak sen i poszło w zapomnienie i tylko ta sterta kolorowych wieńców u stóp wyniosłej postaci...

Taksówkarz wrzucił lewarek do bagażnika i trzaskał kłapą bezskutecznie, a potem machnął ręką i wy dobył spod kurtki połe marynarki i długo wycierał materiałem zasmarowane palce...

Autobus zatrzymał się na przystanku i ci, którzy wysiadali, zderzyli się z tymi, którzy chcieli wsiąść i kłęb ludzi zastygł w bezruchu, a roztrzęsiony kierowca nawet nie zauważył, że

zapalił papierosa od strony filtra i okładał tych ludzi skrzydłami pneumatycznych drzwi...

— Ja bym ewentualnie mógł panią nawet i zabrać — powiedział taksówkarz do kobiety, która stała zamyślona przy krawężniku — ale tylko na Wolę, bo mi się nie karkuluje i jak byśmy lecieli Górczewską, to byśmy mogli trochę nadłożyć, ze dwa kilometry, bo ja tam mam kuzyna i on jest chory na raka wodnego, warto popatrzeć...

Spod pomnika rozchodzili się ostatni milicjanci i cywile i roztopiali się w tłumie.

Obok wiaty pojawił się jakiś człowiek w krótkim kożuchu, wydobył spod tego kożucha mazak i na pancernym szkłe wiaty zaczął rysować duże litery, które zaczęły się układać w słowo zwy...

Przygaszony plac żył, ludzie wypatrywali oczy do łez, szukając swoich numerów autobusów, nikt nie zwracał uwagi na tego znudzonego prowokatora, który pisał na szkłe. I tylko ostatni przechodzący mundurowy mrugnął do niego dyskretnie spod daszka i zrobił nieznaczny gest dłonią i pokazał brodą na obojętnych ludzi i wzruszył lekko ramionami...

Zwycięs...

TRZEJ KRÓLOWIE

Siatka jest pokryta liszajem rdzy i odgradza zebranych ludzi od ogródków działkowych.

Na siatce wisi kilka garści zwiotczałych tulipanów, które zwarzył nocny chłód, a na odgiętym drucie kołysze się w podmuchach chybotliwego wiatru wyblakły obrazek.

Za siatką pochylają się samotne sylwetki działkowiczów, którzy myszkują wśród zeszlórocznych porostów; kępy badyli wydzielają za każdym dotknięciem tumany kurzu.

Zgięci ku ziemi ludzie rzucają czasem szybkie spojrzenia ku tym za siatką i pilnują, by nikt się nie przemknął na ich zagony. I spoglądają też z rozpaczą w niebo i przykrywają grządki papierem pakowym, by uchronić glebę przed pyłem radioaktywnym; przyciskają arkusze kamieniami, ale wschodni wiatr wciska swe posłanie wszędzie.

Krzywa ściana szklanych domów piętrzy się między ludźmi a miastem, które huczy dziś muzyką marszową i jest ruchliwe jak azjatycki bazar.

Ludzie przed siatką zbili się w gromadę; kobiety szepczą między sobą i pokazują palcami i z przekonaniem zaciągają pod brodami węzły chustek; nieco z boku tkwią poważni mężczyźni, kryjąc w stulonych dłoniach zapalone papierosy; ciągnie od nich woń zadawnionego alkoholu i bezsenności.

- Tak jak panią widzę, widziałam.
- Widziała pani?
- Widziałam. A i teraz też widzę.
- W kolorach pani widzi?
- W kolorach. Jak najbardziej.
- W takiej tęczy?
- A bo co? — niepokoi się nagle kobieta.
- Nie, nic. Tylko pytam.

— A co? Też pani widzi?

— Nie, nie. Nie widzę. Tylko pytam, czy w takiej tęczy pani widzi.

— W takiej tęczy. A bo co? — pyta podejrzliwie kobieta.

— Widzi pani może coś?

— Właśnie że nie. Aż mnie gały łupią. I nic.

— No widzi pani.

Ludzie tkwią na wydeptanej łące, pokrytej skamieniałymi kretowiskami. Wiatr wydyma zadrukowane papierzyska, które lgną do drucianej siatki.

Za siatką ciągnie się pas zagonków i budki, sklecone z kałków desek, dykty i papy.

— *Bücher aus Polen* — sylabizują ludzie napisy na ścianach.

— Ten bicher, to niemiecki — mówią z uznaniem. — Niemiecki bicher dobry, nieprzemiękalny. Ktoś sobie naprzywoził z wycieczki. Ładnych parę lat może posłużyć.

— Jak ruski atom nie wypali, to może posłuży — kręcą głowami i przekrzywiają je na ramiona, by spojrzeć na budki bardziej fachowym okiem.

Działki przylegają do ceglanego muru cementarza, nad którym rozrastają się czarne konary drzew. Ludzie niespokojnie przeszukują wzrokiem gałęzie; tam, gdzie takie widełki się wytworzyły, tam widzę; ja raczej tam w bok, tam, gdzie ta półkula gałęziata; tam się płaszcz niebieści. Tak jak nad tamtą budką, tam, gdzie weritas na ścianie. Tam widzę cud.

A ci trzej starzy ludzie stoją daleko stąd, przy krawężniku; od drugiej strony ulicy oddziela ich ruchliwy pochód, który przeciąga całą szerokością jezdni; tamta strona jest nieosiągalna, a oni muszą się tam znaleźć, by ruszyć dalej, ku przedmieściom, ku ogródkom działkowym przylegającym do muru z czerwonych opuchłych cegieł.

Jezdnią pomykają teraz kobiety w kolorowych zapaskach; głowy mają zanurzone w tumanie naftaliny; otacza je wianek ponurych mężczyzn w butach z lakierowanymi cholewami; wszyscy wykonują jakieś figury taneczne, ale kapela jeszcze milczy i kawałkoda porusza się w ciszy jak w próżni i tylko niepokojąco szeleszczą bufiaste portki i sztywne halki; zbliża się siedleckie, ryczą głośniki nad głowami; zbliża się roztańczone jak zawsze siedleckie; mężczyźni z dwudniowym zarostem podchodzącym pod przekrwione oczy wywijają w milczeniu hołubce i z wściekłością okręcają wystraszone baby wokół siebie.

— Komunikacja w centrum dziś nie działa — mówi tych trzech ludzi. — Na piechotę nie dociągniemy do cudu.

— Potem mają puścić tramwaje. Tylko się przebić na drugą stronę ulicy. I do Wisły.

— Ale przejść się nie da. Nie przepuszczą na drugą stronę — mówi stary człowiek o twarzy spalonej na czarno słońcem.

— To ile oni tak mogą iść?

— Długo mogą. Idą i idą. Mnie to się chyba w oczach dwoi, bo mi się zdaje, że tych żołnierzy to ja już trzeci raz widzę.

— Te kobiety w zapaskach też już były.

— Tych nie było. Wtedy szło łomżyńskie. Też w zapaskach, to się można omylić.

— Nie zdążymy, jak to jeszcze potrwa parę godzin. Nie zdążymy. Bo co potem? Noc...

I ludzie wpatrują się poprzez oczka siatki w korony drzew i czekają z nadzieją i zazdrośnie patrzą na tych, którzy zobaczyli i teraz upewniają się, wymieniając gorączkowo szczegóły, jakby szukali potwierdzenia, że to nie było przywidzenie.

— Postać sama! Postać!

— Postać sama, to nie. Ale głowa kolorowa, duża.

— Jaka znowu głowa?

— No głowa. Kolorowa.

— Przecież sama głowa nie może się pokazać.

— Jak to nie może?

— Nie może.

— Wszystko się może pokazać. Jak będzie chciało. Będzie się chciała sama głowa pokazać, to się sama głowa pokaże.

— Głowa nie może. Tylko postać cała z głową. To tak.

— Ale gdzie?

— Ja widzę tam, gdzie taki jakby baldachim z gałęzi. Wyraźnie widzę. Nawet się przesuwają.

— To nie tam. Chyba się pani w głowie przesuwają.

Od ściany szklanych domów ciągną łąką ludzie; na widok tłumu przy siatce przyśpieszają, kobiety biegną, rozgarniając powietrze torebkami i gasną wstydlive uśmiechy, pełne niedowierzania. Tłum jest coraz większy.

— A może by się przemknąć na drugą stronę — zastanawiają się głośno starzy. — Jak będzie przerwa, to skoczyć.

— Gdzie skoczyć. Zadepczą na amen. Nawet nie spojrzą. Taki pochód to już nic nie widzi przed sobą... Tylko prze...

A od pochodu odłącza chyłkiem kilku spokojnych mężczyzn, którzy trzymają na linie olbrzymi balon; balon kołysze się majestatycznie nad głowami, a mężczyźni szepczą gorączkowo i ocierają

twarze i rozglądają się na boki, aż wreszcie jeden z nich zagaduje do starych.

— Nie potrzymalibyście, tarzysze, balona? Co? Na chwilę? Bo my tu musimy na sekundkę... A potem balon ma przejść przed trybuną. Potrzymacie, tarzysze, za linkę? — pyta z chytrą nadzieją purpurowy mężczyzna i jednym szarpnięciem rozrywa koszulę na nabrzmiałej szyi.

Starzy ludzie w popłochu patrzą na siebie.

— A długo by trzeba?

— Moment, i ten...

— A wróćcie po ten balon? — pyta podejrzliwie stary.

— No a jak? Przecie pobrany za pokwitowaniem. Musimy zdać po pochodzie. On już lata tak chodzi przed trybuną. Raz w głowie, raz w korpusie, symbol poniekąd. Jeszcze za Gierka chodził, tylko inną trasą, może pamiętacie. Jeszcze za Wiesława nawet. To potrzymacie go, tarzysze?

— Ewentualnie możemy... A nie wyrwie się?

— Gdzie tam. On na pół fula napełniony. No to już — ożywia się mężczyzna. — Człowiek się zawsze dogada z Polakiem.

Starzy ludzie niepewnie chwytają linę, balon kołysze się, uderzony falą marsza wojskowego; tylko panowie, zaczyna mówić stary człowiek, ale teraz odgradza ich od tamtych olbrzymie skrzydło czerwonej materii i omiata im z sykiem nogi i ramiona, a kiedy wiatr rozwiewa tę czerwoną mgławicę, tamtych mężczyzn już nie ma, jakby zapadli się pod ziemię.

Balon zamiera posłusznie nad głowami trzech starców, lina wiotczeje i oni bez wysiłku dają sobie z nim radę. Balon okręca się w miejscu i starcy, zadzierając z trudem głowy, odczytują napis, który biegnie dookoła; czynem powitamy zjazd.

A stara kobieta ceratową torebką zasłania lewe ucho przed igliwem wiatru i zażawionymi oczyma patrzy na budki wzniezione na działkach, na cmentarny mur i na drzewa za tym murem i bezradnie odwraca się do zgromadzonych.

— Żadnej postaci. Żadnej postaci.

— Żadnej? — dziwią się ludzie z niedowierzaniem.

— Żadnej. Nic mi się nie pokazało.

— Jak się nie pokazało, jak w telewizji pokazywali i było. Postać.

— A, w telewizji, w telewizji. W telewizji to może im się pokazać postać. Ale mnie się nie chce pokazać.

— Musi się pokazać — zapewniają zawiedzioną kobietę.

— A może to przez ten wiatr atomowy? Tak się zamazało?

Tłum nabrzmiewa, nowoprzybyli kręcą się niespokojnie; to

gdzie ten cud, wypytyują, gdzie ten cud; tam, nad tą budką się znajduje, w płaszczu, tłumaczą cierpliwie miejscowi mężczyźni w wyświechtanych marynarkach z postawionymi kołnierzami.

— I co teraz zrobimy z tym balonem? — martwią się starcy.
— Tamtych jak nie ma, tak nie ma...

— Może się jeszcze zjawią? Przecież mówili, że za pokwitowaniem... Muszą się rozliczyć...

— Nie wróćą. Wtrzyli nam ten balon.

— No przecież nie zabierzemy go ze sobą na działki...

— Jak zabierzemy? Do tramwaju?

— Może go komu przekazać?

— A kto by go chciał?...

Zagłuszają ich gromkie i groźne słowa pieśni i krzyk sprawozdawcy, który przebija się poprzez dźwięki; ulicą ciągnie bezładna gromada uczniów w czapkach szkoły zawodowej, otoczona pierścieniem nauczycieli, którzy nieustannie ich przeliczają, podnosząc się na palcach i wyciągając do bólu szyje; kilku uczniów omija te baczne spojrzenia pedagogów i zatrzymuje się przy trotuarze; stoją teraz blisko siebie, jakby się naradzali, ale oni nieznacznymi ruchami zręcznych palców skręcają płótna na drzewach szturmówek, które nieśli nad głowami, a potem końcami kijów wymacują kratę osłaniającą właz do kanału i wpuszczają tam jednocześnie te kije omotane czerwienią i wycofują się na chodnik; chorągiewki nikną w kanale jak spławiki, a uczniowie kulą się i unikają umiejętnie spojrzeń swoich wychowawców.

— Dawaj wolną europę — mówi jeden z nich — może będzie komunikat o chmurze...

A inny wyciąga małe radio tranzystorowe i szuka na skali i łowi głosy pośród trzasków, a głowy pochylają się nad odbiornikiem i słyszą kobietę i mężczyznę i ich splecione słowa; jest jeden sposób na samotność w życiu kobiety, mówi ten mężczyzna, trzeba zostać radną. Radna może na przykład pójść do kawiarni z kolegą radnym i jest ten pretekst i nie ma tych plotek; ty, to nie może być wolna, mówią zawiedzeni uczniowie i właściciel radia znów kręci wytrwale gałką i łapie wreszcie sprawozdanie z tego pochodu, a podmuch wiatru targa balonem i starzy ludzie ze wszystkich sił zaciskają palce na śliskiej linie.

— Więc ja widziałam znowu inną postać, trochę z boku. Bardziej nad tamtą budką. Żółte promienie słońca. Włosy kasztanowate były, takie jak pani ma — i kobieta, która zdaje relację, szarpie teraz za włosy najbliższej stojącą — kasztanowate i takie do pleców — i wali ją z rozmachem w łopatki — gdzieś potąd. Z przodu bródka. Smutny. Jakby przygotowany na najgorsze.

Jakby wiedział, co się święci. No i złote promienie szły, ale to już mówiłam.

— Też widziałam podobnie. Całkowita osoba stojąca w gałęziach. Ażem się zlekkała, bo zawsze.

— Ja tam nie wiem. Wieczorem, to bym może zobaczyła. Ale za dnia nic nie widzę. Może mi się na oczy rzuciło...

— Ja widzę, jak sunie. Raz w te, raz w te...

A w oknach szklanego domu stoją mieszkańcy z lornetkami i kierują je to na kępę drzew za murem cmentarza, to w niebo, z którego sączy się bezszelestnie niewidzialny pył.

— O! Panowie weterani z balonem! — do starych mężczyzną dopada kobieta w rozwianym płaszczu i wpatruje się w nich przytomnym wzrokiem.

— Pani może po balon? — pytają z nadzieją. — Tu jest. Cały.

— Jaki tam balon — gorączkuje się kobieta. — Trzeba ogłosić przez radio, trzeba dawać komunikaty co godzinę, o zwołaniu pojutrze konferencji pokojowej. Trzeba ją zwołać w sali kolumnowej sejmu. Musimy powołać natychmiast komitet, który co godzinę będzie ogłaszał komunikaty w radiu o konferencji w sali kolumnowej. I ja nie mogę pozyskać tego komitetu.

Starzy patrzą na kobietę oszołomieni i chowają za plecy ręce, trzymające linę.

— Wczoraj rozmawiałem z grupą z Kuby. Bardzo pełni zrozumienia. No więc w sali kolumnowej w sejmie. I wy wejdziecie w skład tego komitetu. Jako weterani.

— Ale milicja rozgoni — mówi niepewnie stary człowiek.

— Milicji się pan boi?

— Boję się — odpowiada szczerze stary.

— Ja się nie boję. A jestem kobietą.

— Bo pani życia nie zna, proszę pani. A my nie mamy czasu. Musimy się dostać na Pragę. Na działki.

— No i co to da, to jeżdżenie w kółko. Tam i z powrotem. Ja teraz jadę do hoteli. Mamy u nas trzy hotele. Muszę szukać delegacji z Kuby. Oni wezmą udział w konferencji pokojowej w sali kolumnowej sejmu. Obiecali mi. Bardzo przyzwoici ludzie. Bardzo mnie popierają. A wy musicie podpisać deklarację.

— Ja tam nic nie będę podpisywał — mówi stary i szarpie linę balonu.

— No to może macie chociaż trochę jodyny? — pyta z nadzieją kobieta i nie czekając na odpowiedź, pędzi ku grupie hutników, którzy zbliżają się jezdnią w rytualnych strojach.

— Oczy mi już wypuczyło od patrzenia i nic — mówi

kobieta i zawiedziona odwraca się od siatki i wyciera palce z krwawych plamek rdzy i łapie nagle w garść siwy kosmyk włosów kobiety która stoi obok.

— Ale pani ma pulchne włoski. Piękne — obmacuje dokładnie głowę zneruchomiałej kobiety i odgina jej uszy. — Pulchniutkie. Same przelatują przez ręce. Ja to miałam parę lat cytrynę w słoiku i myłam tą cytryną, ale i tak mi wyszły. A u pani piękne. Ważne, żeby do żółtka dać spirytusu, bo jak się nie da, to ono skrzepnie we włosach i pozlepia. Ale teraz już za późno. Wyjdą pani od tej chmury jak nic. I na tym samym wózku pojedziemy.

— Ale ja widziałam — broni się rozpaczliwie kobieta. — A w ogóle jak ktoś wierzy że jest to nie musi widzieć, a wierzy, że widzi...

— Może tak, a może nie — odzywa się zadumany głos. — W ogóle naród nieufny teraz. Dawniej to na cudzie plackiem leżeli, krzyżem, na gołej ziemi. A teraz sami nie wiedzieć czego chcą...

— A bo ludzie z tego wszystkiego to już nic nie kapują — łagodzą inni i znów odwracają się w tamtą stronę, ale przed nimi ceglany mur.

— To będzie trzynasty cud po wojnie — przekrzykuje orkiestrę dętą stary człowiek. — Już mnie ręce bołą od tego balona.

— Trzynasty. To może być dla nich pechowa ta trzynastka — pokazuje brodą gdzieś w bok drugi.

— Trzynasty. W czterdziestym dziewiątym w Lublinie, w pięćdziesiątym siódmym na placu Kossaka w Krakowie, w pięćdziesiątym ósmym w Chełmku... — wylicza trzeci.

— W pięćdziesiątym dziewiątym wieża się świeciła na Muranowie, co ją zamalowali — mówi drugi.

— W sześćdziesiątym piątym w Zabłudowie dziewczyna była świadkiem cudu. To jej matkę za to zaarrestowali, za fałszywe wiadomości... — dopowiada trzeci.

— W siedemdziesiątym pierwszym, pod Radzyminem, w siedemdziesiątym czwartym w Piotrkowie Kujawskim. W siedemdziesiątym piątym we Wrocławiu.

— W osiemdziesiątym pierwszym w Olecku.

— W osiemdziesiątym czwartym w Oławie.

— Też w osiemdziesiątym czwartym, w Karczewie.

— To w ostatnich latach tak sypnęło.

— I wszędzie zdążyliśmy na czas. A teraz? Z tym balonem?

Jezdnią sunie wąż pielęgniarek w białych czepkach. Młode dziewczyny rzucają niepewne spojrzenia i kryją się za plecami

koleżanek i zanoszą się nerwowym śmiechem, którego nie mogą opanować...

I co kilka kroków, na komendę przełożonej, szereg zmienia krok, podskakując w miejscu, jakby nim wstrząsała czkawka.

Obok tamtych starych ludzi zatrzymuje się młody mężczyzna z dłonią ukrytą znacząco pod lewą pachą; ocenia ich przez chwilę fachowym wzrokiem, a potem odzywa się szeptem do najbliższego: może rajstopki dla małżonki, i zachęcająco szeleści celofanem pod marynarką.

— A kto w ogóle widział — niecierpliwą się ludzie i odwracają zmęczone oczy od cementarnego muru.

— Jak to kto widział. Wszyscy widzieli.

— Ja mam nawet fotkę.

— Niech pani pokaże.

— Ja tej fotki tu nie mam, ale siostra ma. W kolorze widziałam.

— No to niech pani pokaże. Jak tak.

— Mówię, że nie mam. U siostry mam. Z bliska nie widać jak wziąć. Ale z daleka widać. Trzeba rękę odsunąć i wtedy widać. Rozmaite kolory. W różu widać i w niebieskim.

— A może pani polewa z tym zdjęciem.

Kobieta odwraca się urażona i wzrusza ramionami.

— Jak sobie chcecie — mówi. — Ale z cudem to nie ma szyderstwów.

Ponad łąką wstaje chory opar, oczy ludzi łzawią. Od betonowej ściany domu niosą się mdłe wonie kuchenne i spotęgowany ryk telewizorów, które pokazują pochód.

A przez łąkę brnie w kierunku tłumu dzielnicowy i ręką w skórkowej rękawiczce podtrzymuje raportówkę; fala dźwięków z pochodu popycha go do przodu i nie pozwala zwolnić opornych kroków.

I tak dochodzi do muru ludzkich pleców i zatrzymuje się niezdecydowany i otwiera usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamyka i skacze ku kretowiskowi, ryje je czubkiem buta, schyla się, sięga i powoli prostuje.

W palcach trzyma teraz zakurzony długopis; otrzepuje go z grudek ziemi, rozgląda się, chucha na kulkę i nastawia lewą dłoń, by go wypróbować, ale zaraz ściąga skórkową rękawiczkę i dopiero teraz zaczyna zamazywać stawiak jakieś znaki.

A potem wpatruje się w tę dłoń i odzywa się, jakby odczytywał z niej komunikat.

— Ludzie. No i czego się tu gromadzicie. Rozejdźcie się do domów. Bo będzie bieda.

Ci, bliżej stojący, odwracają się i widzą samotnego dzielnicowego naprzeciw siebie, tłumowi, i patrzą na niego bez lęku.

— Ludzie. Przecież tam nic nie ma. Nigdy nie było. Odkąd tu nastałem — mówi niepewnie dzielnicowy, z oczyma wbitymi w lewą dłoń. — Przecież tam się nic nie pokazuje...

— Jak kto grzeszny, to mu się nie pokaże — odrywa się głos od tłumy.

Jak kto niegodny.

Zapada cisza, a potem znowu podnoszą się głosy, coraz pewniejsze; ludzie patrzą po sobie ze zdziwieniem, jakby dokonali niespodziewanego odkrycia.

— Właśnie niegodnemu się prędzej pokaże. Bo godnemu, to się nie ma co pokazywać. Niegodnemu raczej. Bo może się nawrócić...

— Ludzie. Rozejdźcie się lepiej. Nie róbcie zgęszczenia. Cudów nie ma tak na zawołanie — mówi bez przekonania dzielnicowy i wpatruje się w kępę drzew ponad murem...

A tym starym ludziom omdlewają już ręce; podmuchy wiatru i fale muzyki marszowej targają balonem na wszystkie strony.

I jeden z nich wyjmuje z kieszeni paczkę popularnych i podsuwa ją w kierunku towarzyszy, a oni częstują się wolnymi rękami, a potem pochylają się nad wiotkimi płomykami zapafek i nie wiadomo kiedy lina balonu wymyka się ze zdrętwiałych palców i balon skacze w górę, potem w bok, i grupa dziewcząt z werblami przytroczonymi do brzuchów przestaje machać pałeczkami, a okrągłe oczy z ciekawością śledzą niepewny lot, i zaraz potem wiatr zakręca balonem i ciska nim w transparent, który na wysokich tyczkach niesie dwóch kolejarzy z węzła kolejowego; powłoka rozpruwa się o ostry koniec jednej z tyczek i z wnętrza bucha z furkotem struga gaz i wyrzywa z rąk kolejarzy długie hasło, amerykańskim rakietom nuklearnym nasze kolejarzkie nie i balon miota się we wszystkich kierunkach, siejąc wśród maszerujących spustoszenie.

Odzywają się piski kobiet, obciążających gwałtownie pstrokate sukienki, kolejarze dociskają do głów czapki i zbierają z asfaltu pogięte litery z brystolu, które oderwały się od płótna, a sflaczały balon przypada teraz do krawężnika i porusza się jak meduza.

Przy trzech struchlałych mężczyznach zaroilo się nagle od młodych mężczyzn, którzy otoczyli ich i mocno ujęli pod ręce; słyhać kilka mocnych poleceń i komend i jakieś oderwane zdania; zakłócenie toku, zamach na uroczystości; trzech starych mężczyzn nie może pojąć, co się stało i rozglądają się bezradnie i nie wiedzą,

dlaczego prowadzi się ich gdzieś w bok, do szarego samochodu z budą.

— My musimy na działki... — chciał powiedzieć jeden z nich i zamilkł.

— Będziecie mieli swoje działki — usłyszeli drwiący głos.
— Każdy będzie miał swoją działkę.

A kiedy stanęli przed samochodem z rozwartymi wrotami budy i podnieśli oczy, zrozumieli, że jest to wysokość nie do pokonania dla nich i chcieli o tym powiedzieć, ale usłyszeli tylko szybkie słowa, no, wskakujcie do dyskoteki, trzej królowie...

ŁAŃCUCH CZYSTYCH SERC

Ci dwaj stali w milczeniu, na wprost siebie, bez słowa, a potem skulili się, przykucnęli i zaczęli się jednocześnie cofać, roztrzając obojętnie ludzi; wyglądali jak dwa karły, przygotowujące się do pojedynku, a między nimi rósł czerwony skrzep materiału, który rozwijali nad ziemią, a gdy już nie mogli zrobić ani pół kroku na tej uwięzi, ostrożnie się wyprostowali; trzymali materiał za końce i przyglądali się literom z żółtawego styropianu, a później strzepnęli, by się pozbyć okrucichów z innych haseł, ale klej puścił i hasło zawisło nad nimi na moment, a oni zdumieni poderwali głowy i jeszcze zdążyli je odczytać; do łańcucha serc czystych bieży każdy bystry; wiatr uderzył i litery zawirowały jak lekkie albatrosy i szyk zaczął się łamać i najpierw hasło straciło sens, potem słowa; wiatr znowu smagał i poniósł uwolnione litery i roztrzaskał je o czarną pierś kamiennej olbrzymki, opartej plecami o ścianę pałacu kultury.

Ci dwaj śledzili lot hasła i słów i liter, a potem, gdy białe trociny posypały się na podolek kamiennej kobiety i na jej trzewiki, wzruszyli ramionami, odwrócili się, poszli do ciężarówki, wybrali następny zwój płótna i znowu cofali się w kucki, jakby szukali niedopałków wśród szczelin granitowych płyt, a między nimi zakwitało białe hasło; czyś jest zdrowy, czyś jest chory, na wybory! i oni sylabizowali pośród gwaru i szurania licznych nóg, a potem wzruszyli ramionami, zwinęli materiał, zanieśli do samochodu, wyszukali inny rulon i bez słowa zaczęli się cofać w cieniu piramidy Stalina.

Na placu gromadzili się ludzie i przyglądali się ekipie telewizyjnej, zamotanej w kable, patrzyli na rozleniwionych fotoreporterów i reporterki z mikrofonami; widzieli maleńkiego purpurowego mężczyznę w czapeczce kolarskiej i słuchali słów, które właczał w mikrofon; mężczyzna stał na odkrytym samochodzie,

a dookoła niego popychali się w napięciu pomocnicy i nagrywali to przemówienie na miniaturowe magnetofony, a on co chwilę odrywał się od mikrofonu i dawał znak; pomocnicy cofali wtedy taśmy i odtwarzali jego słowa; słuchał ich łapczywie i purpurowiał coraz mocniej i znów chwycił mikrofon i rzucał okiem na plik karteczek; wspaniała sprawa, integracja, brońmy, idea miłości, w naszym kraju będziemy pierwsi, zwycięży, kochać, kochać, kochani, będziemy zawsze razem, spleciemy ręce starsi, młodszy i starzy również, łańcuch, kochać, kochać, schwycimy się wszyscy za ręce i będziemy stać, droga prawdy, nasz łańcuch połączy kraj, uczciwość nasza, sukces, radość, szczęście, mój, nasz, będziemy razem, wspólna droga, porozumienie, życie wspólne, nasze, kochać, kochać, łańcuch, cały kraj, niech leci, porozumienie, musi polecieć, za ręce, wszyscy, wszyscy, kochać; i znów słuchał tych słów, przyciskając magnetofon do kolarskiej czapeczki, a tamci dwaj w narastającym gwarze rozwinęli kolejne hasło i odczytywali je z przekrzywionymi głowami i wzruszali ramionami; każdy się łańcucha ima, bez łańcucha ciebie nima.

Powietrze przecięły pierwsze krople deszczu i gasły z sykiem na splekanych kamiennych płytach; reporter wyciągnął zza pazuchy plastikową torebkę, wyjął z niej dwie złożone kromki chleba, chleb wsunął do kieszeni i niezdarnym ruchem jednej ręki próbował naciągnąć tę torebkę na głowę, by ochronić włosy i czochrając się podszedł do grupki ludzi, którzy stali spokojnie na stronie i trzymali się za ręce.

— Łańcuch? Łańcuch? — zagadnął od niechcienia.

— Łańcuch czystych serc! — odpowiedzieli, a on szybkimi ruchami łowił mikrofonem głosy z różnych stron i wyglądał jak dyrygent.

— Długo czekaliśmy na wyzwolenie się podobnej inicjatywy. I ten łańcuch wreszcie się wyzwolił i nas zjednoczy od gór do morza i będzie milowym krokiem w dziele porozumienia narodowego i on się stanie potężnym okrzykiem przeciwko spirali, którą rozkręca w kosmosie kowboj...! a reporter kiwał głową do taktu i pogryzał ten nasiąknięty deszczówką chleb, a gdy wyłączył magnetofon, tamci puścili ręce i otoczyli go; w radiu poleci, pytali go, w radiu; jak najbardziej, odpowiedział reporter i żuł chleb; śmielsza i obyta dziewczyna odezwała się do niego; pan to pewnie zjadł zęby na reporterce, a on skrzywił się na potwierdzenie i machnął tylko ręką, a potem mikrofon znów zaczął łowić wśród ruchliwej ciżby; ja to sobie od razu pomyślałem, że jak się tak wszyscy w tym kraju jak jeden weźmiemy za ręce i te ręce podniesiemy, to będzie z tego wielka sprawa, no, nie

wiem, ale wielka sprawa, tak w trzydzieści sześć milionów się weźmiemy i pokażemy, ile nas jest naprawdę...

— Pod trzydzieści siedem milionów już... — dorzucił ktoś z boku. — Według najnowszych badań...

— Trzydzieści siedem nawet; pokażemy wielką sprawę!

— Uwaga! — krzyczał maleńki mężczyzna w kolarskiej czapce — uwaga! Zaczynamy! Chwytny się za ręce od gór do morza! Wzdłuż i w poprzek! Jestem z wami!

A ludzie nagle zaczęli się cofać w niewytłumaczalnym popłochu, ale było już za późno, bo ręce się splatały w uściskach, a pomocnicy mężczyzny, który kierował przez głośnik każdym ruchem, ruszyli w tłum i zaganiaли do szeregu i rozłożonymi ramionami łowili rozchichotane kobiety, które usiłowały czmychnąć, a łańcuch zaczął się wydłużać, i już wydobył się z popielatego cienia pałacu i przeciął olbrzymi plac; ci dwaj powoli cofali się i rozwijali płótno; sprawdzali hasło i wzruszali ramionami; czekać na siebie nie każ, włącz się w szeroki serc paletaż; a na uboczu kamerzysta zastygł w nienaturalnej pozie jak katatonik i nagrywał wywiad do telewizji; słowa żłobiły obojętną taśmę; brak w tym naszym łańcuchu niestety wielu i tu chciałbym skorzystać z okazji; brak tych ogniwek, ale ja powiem, że wszystko jest do naprawienia; człowiek, który się przestał czuć, że jest jednym z nas, jakąś ekspiację tam wykazać, przyznać się do błędów; można się było przyznać do błędów, przeholowało się, ale to jedyna droga, ta ekspiacja, też już, jak to się mówi, uznało się, że się zrzekło, a by się, prawda, spróbowało, w tym rozżaleniu, w tym poczuciu, a teraz skorzystali, wyrzekli się obywatelstwa; to skomplikowane; wyjechali w odruchu i nie jest łatwo do tego podejść; z jednej strony ich nie przyjęli, znamy przypadki, było tak, że przecież wracali i opowiadali, a są powody dłuższe, niż ważność paszportów; jakie powody, jakie racje; jakby chciał jeszcze paszport dostać, to przyjsć, powiedzieć, wytłumaczyć albo zawsze się odwołać i zawsze; a łańcuch rósł i skrył się już za rogiem domu towarowego.

Za tym łańcuchem podążyli zachłanni reporterzy i szturchali mikrofonami brody ustawionych w szeregu ludzi, a deszcz zacinął dotkliwie i ludzie kulili się i odwracali od kropli twarze, ale nikt się nie odważył na porzucenie łańcucha; porządkowi krążyli ulicami i wylapywali przechodniów; gdzie, gdzie, dokąd; do łańcucha, do łańcucha, nawoływali opornych; łańcuch pęczniał i biegł teraz koło banku; na kamiennych stopniach sterczał strażnik z automatem, przerzuconym przez ramię i mruczał monotonicznie w ziemię: dolary, dolary, inne waluty, waluty, kupię, kupię; i nagle łańcuch porwał go i wchłonał i nim się strażnik spo-

strzegł, już był ogniwnem tego łańcucha; z jednej strony trzymała go za spierzchniętą dłoń zylasta kobieta, a z drugiej chłopak z seledynowym czubem na głowie; strażnik aż się zachnął i szarpnął rękami, jakby chciał dosięgnąć automatu, ale nie był w stanie zrobić żadnego ruchu.

— Czym jest dla was łańcuch? — krzyknął reporter. — Czym są dla was te czyste serca? — i kolnął mikrofonem najbliższego mężczyznę, a ten, jak wyrwany z odrętwienia, otrząsnął się i odezwał cichutko; ogólnie, to jestem za porno. Głównie jak jedną kobietę w kilku, nie? Tego. Baba z psem nie lubię...

A kobieta, która przy nim stała i ścisnęła mu dłoń zbielełymi palcami, zaprotestowała gwałtownie i pokraśniały jej policzki i zachłysnęła się, a potem uspokoiła kaszel; ale społeczeństwo nasze nie dorosło. Wywołuje to obrzydliwość. Nawet nie podnieca. W nizinach społecznych jest rzeczą popularną z jedną panią paru...

— Dlaczego — powiedział zduszonym głosem mężczyzna. — Jak się sama prosi? To proszę bardzo. W takim wypadku należy ją sypać — i ogarnął go paroksyzm wążutkiego śmiechu, ale reportera już od dawna przy nich nie było.

Łańcuch biegł teraz zaułkami, a potem wyprostował się na szerokiej ulicy; maleńki mężczyzna w kolarskiej czapeczce stał z mikrofonem na odkrytym samochodzie i grzmiał przez głośnik do łańcucha i purpurowiał niebezpiecznie; mamy już pewne informacje, że łańcuch z południowego wschodu jest coraz bliżej, coraz bliżej; połączymy się w połowie drogi, a jak się połączymy, to uniesiemy radośnie ręce w górę, w tym radosnym geście i próba, teraz próba; ręce do góry, wrzasnął przez głośnik, umieszczony na kabinie samochodu, a łańcuch odgiął się z obawą, ale ręce posłusznie powędrowały w górę i zastygły. I zaraz zaczęły omdlewać, bo były obciążone barwnymi torbami z zagranicznych supermarketów i siatkami i tylko młody wychudzony blondyn w marynarce z postawionym kołnierzem miał wolne ręce; dla wygody trzymał swą skórzaną torebkę w zębach i wychylał się z łańcucha i seplenił, bo sztuczna skóra utrudniała ruchy języka; swoje cyste sese niose pati w daze; i wyciągał niebezpiecznie szyję, ale żaden mikrofon nie zdołał uchwycić jego głosu; ten szef, powiedział ktoś niechętnie, goniąc wzrokiem oddalający się samochód z głośnikiem; ten szef od łańcucha; on wie dobrze, czym kaczka wodę pije; on za każdą sztukę, którą nagoni, ma dostać na rękę dziesięć groszy. To se pan policz; i rzucił gwałtownie głową, jakby się chciał uwolnić od duszącego uścisku; za dziesięć ma złotego, tak? Za stu dycha. Za tysiąc paczka. Za

dziesięć tysięcy tauzen. I wystarczy. I już ma na flaszkę. A robota żadna.

— Medal ma dostać za łańcuch. Dodatek do renty leci za medala — dorzucano.

— Medal też wygoszparują. Głównie za to, że nasz odciąga od roboty wywrotowej — szarpnął głową mężczyzna. — Medal ma być. A na początek jest ta flaszką. Jak nagoni dwadzieścia tysięcy, dwie flaszkę. I chwacit. Trzydzieści tysięcy to nie nagoni. Ale pochłać już może zdrowo. Sukinkot! — rozwścieczył się nagle mężczyzna i miotał głową we wszystkie strony, aż łańcuch zafalował.

Początek był już gdzieś daleko i mijał właśnie bramę, w której tkwił stary człowiek i patrzył w niebo i wyrzucał z siebie słowa, które wracały, a potem zauważył kątem oka zbliżający się łańcuch i krzyknął głośniej, jakby uwierzył, że będzie wysłuchany: patrzają ludzie, sześćdziesiąt pięć lat haruję, od świtu do nocy; i co, bilety na autobus po osiemnaście; od świtu do nocy; a haruj, haruj, siwy łbie, haruj, ty durny siwy łbie; i tłukł się kufakami w czoło i tupał, a łańcuch uchwycił jego ręce, jakby chciał uratować tę głowę i wchłonął go bezgłośnie i runął ulicą w dół.

A przy łańcuchu zatrzymał się samochód i wyskoczył z niego kamerzysta i jakiś mężczyzna i chciał się włączyć w łańcuch, a kamerzysta już kierował na niego obiektyw, ale podniósł się tumult i mężczyzna zawahał się; czego, czego, pan tu nie stał, tak czy nie; i mężczyzna wskoczył do samochodu, za nim kamerzysta i odjechali.

Łańcuch oplótł teraz pomnik; na cokole tłoczyła się grupka żelaznych ludzi w blaszanych jesionkach, z przestarzałymi karabinami, gotowymi do strzału w rękach; wszyscy wytrzeszczali stalowe oczy w jednym kierunku i w tamtą stronę zaczął rosnać łańcuch i powoli zbliżał się do sklepu monopolowego, przed którym tkwiła przemoczona kobieta, a nad nią dwóch mężczyzn trzymało transparent z ukwieconym napisem; i bez alkoholu możesz się zabawić kulturalnie, a przed nimi chwiały się jeszcze jeden mężczyzna i krzyczał: brawo, brawo i dusił w sobie czkawkę i śmiał się, a deszcz mieszał mu się na policzkach ze łzami; brawo; ja już nie piję trzy miesiące i jeszcze tylko dziewięć miesięcy i otrzymam w dowód uznania miniaturkę miecza Szczerbca; jeszcze tylko dziewięć miesięcy; a ten miecz, to pomysł kolegów deliryków z naszej grupy odwykowej i oni wymyślili jeszcze, że za dwa lata niepicia będzie wręczana większa miniatura miecza Szczerbca, a za trzy lata niepicia jeszcze większa, taka, jak kura i rozłożył ręce, by im zademonstrować rozmiar miecza, a łańcuch

tylko na to czekał, a potem jeszcze zagarnął tę pikietę sprzed sklepu monopolowego; z bramy wyskoczył z piskiem mężczyzna; ten pisk wydobywał mu się spod marynarki, a on coś mówił gorączkowo, odchylając kołnierz i rozglądał się bezradnie; między nim, a ludźmi z łańcucha leżał tylko zdeptany transparent z umajonym kwiatami napisem; i bez alkoholu możesz się zabawić kulturalnie i tylko jakiś skupiony dziennikarz notował w rozmokniętym notesie żarliwe słowa dziewczyny; dla mnie ten łańcuch jest wszystkim i ja od tego łańcucha będę kimś zupełnie innym, bo zobaczyłam, że nie jestem sama, tylko że jest nas moc; a mężczyźni zaświeciły się oczy; delikatnie ujął dziennikarza pod łokcie i poprowadził go do bramy, i dziennikarz szedł machinalnie, nie zwracając na nic uwagi i notował ostatnie słowa; ja kocham ten łańcuch, a uszkodzona krótkofalówka piszczała cichutko...

I kobieta w łańcuchu rzucała spojrzenia na swojego sąsiada i ścisnęła znacząco jego palce, a on nagle pochylił się nad nią i zanucił matowym tenorem; naprawdę jaka jesteś nie wie nikt, a ona oblizła usta i szepnęła; pan to jest z piosenką na ty...

— Zawsze możemy nawiązać temat — zaczął sąsiad, pochylając głowę, ale w tym momencie gruchnęło z przejeżdżającego samochodu; ręce do góry, na próbę; północny wschód przekroczył linię Wisły i mignęła barwna czapeczka kolarska; ręce tych dwojga posłusznie uniosły się, a oni odwrócili się od siebie jak obcy.

— Wasz sektor jest pro czy kontra? — zainteresował się zziębnięty przechodzień i tłuł mokrym beretem o kolana, jakby tańczył kozaka.

— Zależy... — odezwały się niepewne głosy.

— No nie... Ale za partią? Czy naprzeciwno?

— Różnie...

— Bo tam, w pasażu, to sektor krzyczy Lechu, Lechu i jeden śpiewa odznaka zetemesu wpadła mi do sedesu, a tam za rogiem wznoszą niech żyje reforma gospodarcza i jej drugi etap i że z promem bliżej nam po drodze. Na placu znowu śpiewają religijnie... No więc jak?...

— I tak i tak...

— No nie... Bo nie wiem... To gdzie mam się włączyć?

— A pan jest... tego...

— Najpierw wy powiedzcie...

— My to różnie... Ja uczestniczę w łańcuchu, bo mnie żona porzuciła z drugim. I to mnie boli.

— Ja wiem, że to boli — odpowiedział przechodzień. — I to nawet musi boleć...

— Pan tam pójdzie do czoła i pan zapyta. Tam panu po-

wiedzą... Bo my... to co tam my... Powiedzieli, żeby stać, to się stoi. Tyle, że człowiek może mignie na tym szklannym ekranie... dla dzieciaków radość... Już raz przeleciała telewizja, ale nas nie zdjęła. Może za drugim razem... Co my tam wiemy, na co ten łańcuch tak naprawdę...

— Mówią, żeby odległości zmierzyć... No to trzeba się jakoś społecznie...

A na drugim końcu łańcuch pęczniał zakosami, omijając przezornie kałuże, które rozpryskiwały teraz koła pędzącego samochodu; mignęła w deszczu purpurowa twarz, a z dachu samochodu rozległ się ryk; ja mam czyste serce, a wy? Południowy zachód jest już blisko! Ręce do góry! Radość! Radość!

I nad łańcuchem znieruchomiała koronka rąk...

Pod kościołem deszcz omywał cichą kolejkę; kobiety szeptały między sobą ostrożnie; ja to stoję w zastępstwie za męża, bo on nie mógł... z przyczyn usprawiedliwionych...

— Jak w zastępstwie...

— No bo mąż nie mógł, bo właściwie jest pijanym, ale może on go jakoś tak wyleczy, ten cudotwórca, na odległość...

— Nie da rady na odległość — zaszepotały kobiety. — Na odległość jego władza nie sięga.

— Przecież musi mu ręce przyłożyć osobiście...

— On z pijaństwa nie leczy.

— Ze wszystkiego leczy... Mam numerka męża...

— Jak wyleczy? Gdzie mu ręce przyłoży. Na gardło?

— Chyba na gardło... No bo gdzie?

— A co to za choroba, jak chłop wypije? Gorzej jak człowiek nie pracuje. Wtedy to już nie jest człowiek. Nie może mieć to miano. Chłop jak nie pracuje albo kobieta. To nie człowiek. Nie mówię dziecko. A wypić musi, bo nie będzie pracował...

Łańcuch był coraz bliżej i kobiety z kolejki do uzdrowiciela zauważyły go teraz i zadreptały niespokojnie i pochyliły się do przodu, przesłaniając dłońmi wyblakłe oczy; co to jest, co to, co to jest, zaszemrała kolejka; jak, co; to chyba będzie ta metoda łapania się za ręce, co taki prąd się robi i przelatuje i wszystkich leczy; mówią, że to lepsze od przykładania rąk, jak taki prąd trzepnie; gdzie lepsze, przykładanie rąk dużo lepsze; mówi, że prąd lepszy; ja cztery razy brałam prąd; a na co oni się tu pchają z tym prądem; gdzie indziej niech idą, do siebie; jak na co; żeby wybór był leczenia; i tak można i tak można; ja się nie ruszam, numerka mam na przykładanie, to nie będę numerka wytracała; a niech pani stoi, kto pani broni, czy co; prąd to zawsze prąd; i pojedyncze sylwetki zaczęły się wymy-

kać z kolejki i skłoniły się w stronę łańcucha, wyciągając do niego ręce...

— Północ się zbliża! Północ coraz bliżej! Mamy wiadomości! Północ u wrót stolicy! — wył głośnik z dachu samochodu, a przekrwione oczy lustrowały bacznie szereg ludzi. — Dzisiaj połączymy w łańcuchu cały kraj; Jutro połączymy całą kulę! A teraz na próbę! Ręce do góry! — i dłonie uniosły się i lśniły w deszczu jak brąz. A łańcuch skręcił za oddalającym się samochodem i ominął kolejkę pod drzwiami zakrystii.

— Co łańcuch zmieni generalnie w pani życiu? Co? — gorączkowała się teraz reporterka i żgała mikrofonem rozległe piersi, a kobieta usiłowała zebrać myśli i gryzła wargi, więc wykorzystał ten moment jej sąsiad i wysunął głowę spomiędzy wzniesionych ramion i szepnął głosem pełnym bólu; ten ustrój ma swoje zalety...

Reporterka pognała wzdłuż szeregu; jaki ustrój, jakie zalety; głosy po bokach podnosiły się na wysokość uniesionych rąk; co, jaki ustrój, że jakie zalety, zapytał ten mężczyzna; no coś pan gadał o tych zaletach i o tym ustroju; to niby o co się panu rozchodzi; co ja gadałem; no jak; a kto powiedział, że ten ustrój, to co jak co, ale ma swoje zalety; ja nic takiego nie powiedziałem; chyba się pani śniło; chora pani, czy jak; i mężczyzna próbował opuścić ręce, jakby się chciał zasłonić, ale nie mógł uczynić żadnego ruchu; łańcuch nad głowami był tak mocny, że nogi mężczyzny oderwały się na chwilę od podłoża.

A ludzie popatrzyli po sobie niepewnie, ostrożnie wysuwając głowy poza obręb łańcucha czystych serc; z chłopem nie dojdzie, bo gdzie, jak, gdzie u chłopca rozum; jak, gdzie...

— Bez chłopca znowu to się tak przykrzy, tak się przykrzy, ja to mówię; tak się bez chłopca przykrzy, aj — wybuchnęła nagłą skargą ta kobieta, która dotąd szukała odpowiedzi na pytanie reporterki.

— Nasz łańcuch naprawi nas samych! Nasz łańcuch naprawi nasz kraj! — słowa z dalekiego głośnika łopotwały wśród ociążonych ścian domów.

— Że co? Jaki łańcuch? — zainteresował się ktoś z szeregu.

— No my. Łańcuch, to my. Pan też łańcuch.

— Ja jestem łańcuch, także?

— To na co pan stoi?

— Okaze się na co. W końcu powiedzą, nie? Będą chyba jakieś komunikaty... Ja ci dam łańcuch, śmieciu — i mężczyzna targnął się ku sąsiadowi, ale łańcuch ani drgnął.

A ulicą, którą przeciąga łańcuch czystych serc, przejeżdża teraz wypełniona buda i na widok szeregu ludzi kierowca odru-

chowo zwalnia, a zza szyb świecą łakome oczy, ale zaraz gasną i buda przyspiesza i tylko sine światło, pulsujące na dachu, smaga twarze stojących i ciemna smuga zastyga na nich jeszcze na moment, a potem spływa bezgłośnie.

Oba końce łańcucha rosną, mimo, że porządkowych, którzy kierowali ludźmi, już nie widać i deszcz niesie sponad dachów mrok, a ostatni kamerzysta i reporter dziennika wsiadają spieszenie do samochodu i kierowca rusza; jadą teraz wzdłuż muru ludzi, a reporter dziennika mości się w cieniu i mruczy w zadumie; ciągnie się ten łańcuch jak sierp z dupy...

Końce łańcucha posuwają się same i myszkują wśród domów; nieliczni przechodnie przyrastają jak kolejne ogniwa; niby jestem za tym łańcuchem, a sam nie wiem, jak ze mną jest, odzywa się stłumiony głos i milknie...

I nagle jeden koniec łańcucha wybiega zza załomu muru i zastyga, bo ma przed sobą drugi koniec, który zmylił drogę i ludzie z obu końców patrzą na siebie ze zdumieniem; dzieli ich tylko wąski strzęp trawnika, ale ulica jest już pusta i łańcuch martwieje; oczy z obu końców przyglądają się sobie podejrzliwie; mieli być już dawno za Wisłą; a może to myśmy mieli być za Wisłą... i słyhać rosnący głos; na próbę; ręce do góry, ręce do góry; zza zakrętu wyłania się otwarty samochód, na którym stoi maleńki mężczyzna w kolarskiej czapeczce i ten mężczyzna widzi nagle oba końce łańcucha i błędnie gwałtownie, a osłupienie odbiera mu mowę; samochód mija szybko to miejsce i mknie dalej w welonie wodnego pyłu i mgły, a mężczyzna wali pięściami w kabinę, a potem zrywa z głowy kolarską czapeczkę i rzuca ją pod nogi i depcze...

I kiedy samochód niknie już w mroku, słyhać ochrypy ryk z głośnika umieszczonego na dachu; nie w te strone, karwa! Nie w te strone!

POCZUCIE

Wysoko, na wyciągnięcie męskiej ręki: Kor Zyd!

A nieco niżej: sam jesteś Żyd, ty Żydu!

To były stare napisy, wydrapane ostrym narzędziem na szerniałej ścianie windy; już nie do usunięcia.

I ten mężczyzna chwiał się na nogach i wpatrywał się ze zdumieniem w litery i przesuwiał palcami po wklęsłościach, a potem jednak uległ, wyciągnął długopis i nacisnął z góry kciukiem, ale sprężyna śmignęła wysoko jak iskra i nagle nad mężczyzną załopotały rozpaczliwie liczne cienie i poczuł uderzenia powietrza i panikę; raptownie poderwał głowę i zobaczył nad sobą przerażonego gołębia, który szamotał się pod stropem, aż wreszcie wczepił się w metalową konstrukcję, uniemożliwiającą kradzież żarówki i cienie skrzydeł zastygły; mężczyzna chwycił łapczywie powietrze, a gdy ochłonął, ostrożnie wydobyl zza paska spodni butelkę, zręcznie pozbył się nakrętki i uniósł butelkę do ust i pił, patrząc z ukosa na gołębia, który wisiał pod żarówką jak nietoperz.

Potem powoli skierował palec w stronę guzika i wcisnął go, nie cofając ręki, a winda ruszyła gwałtownymi skokami w dół; mężczyzna znów podniósł butelkę, ale nie trafił i wódka chlusnęła mu na pierś.

Więc wciągnął głęboko brzuch i zaczął upychać nie zakreconą butelkę za paskiem, a wtedy przez luźne nogawki spodni posypały się jakieś kartki i fotografie i jak talia bezszelestnie ułożyły mu się wokół butów; niektóre zdjęcia odwróciły się obrazkami do góry, inne świeciły bielą, pokrytą jakimiś notatkami; mężczyzna miał pod stopami obraz fabryki w lesie, ogrodzonej ażurowym parkanem z betonu, za którym walały się rury ze zgrubieniami na końcach, przypominające lufy czołgowe, rampę kolejową z rzędem wagonów i rozmazane sylwetki ludzi, przyswiecających sobie w

mroku latarkami, grupę poważnych ludzi skupionych wokół księdza, siedzącego za stołem; mężczyzna zrobił ostrożny ruch nogą i bezwiednie nadepnął na niewielkie zdjęcie, na którym dwie zmartwiałe kobiety stały w śniegu nad czarną plamą, przypominającą ślad skrzepniętej krwi; winda z jękiem pogrążała się w szybie.

Rozległy plac stał w ciszy i we mgle; domy, które go otaczały, były nierealne jak dekoracje i ogarnięte martwicą; na wystających z murów balkonach piętrzyły się zużyte przedmioty, kawałki krzesel, wyblakłe zabawki dziecięce, strzępy zbutwiałej materii, zakurzone słoiki i butelki, dziurawe garnki z oczkami emalii, skrzynie zamilkłych telewizorów, niemodne żyrandole, spróchniałe ramy od obrazów, przeżarte ramy rowerowe, skrzepowane paczki gazecin.

Czasem wiał wiatr i betał mgłę i niósł przez plac plastikowe kubki po kefirze, które grzechotały jak młynki purimowe...

Za szybą nieczynnego kiosku wisiał zwierztały kartonik z napisem okazja, przy zakupie kalendarza z sennikiem możesz otrzymać bezpłatną premię pod postacią plakatu trzysta lat odsieczy wiedeńskiej...

Te domy były tutaj obce, wystawione tymczasowo, jakby dawni właściciele innych mieszkań w nieistniejących teraz domach mieli tu niebawem powrócić i ożywić okolice.

I na placu tkwiło w ciszy kilka bezlistnych drzew, a pod nimi, jak wieczna zmarzlina, jak mogiła, wznosiła się skamieniała przyzma czarnego śniegu.

Rzadkie porosty nie kryły zdeptanej ziemi, z której sterczały zardzewiałe zakrętki słoików i ułamki szkielec; znów obróciły się mgły i niosły ciężkie strzępy gazet i stłumione gardłowe okrzyki i głos gwizdka.

A mężczyzna stał na chwiejnych nogach przed budynkiem i rozglądał się bezradnie i naciskał palcami powieki; zaćmienie dziś, że tak nic nie widać, może zaćmienie dziś przypada, zaćma...

— Panie. Jakie zaćmienie — usłyszał głos i oderwał palce od nabrzmiałych powiek i mrugał szybko, ale z mętnej jak pęcherz mgły nie wyłaniał się żaden obraz. — Z takim zaćmieniem. Panie. Wczoraj było lepsze zaćmienie. A dziś to tylko taka dziwna mgła. Lepi się. Dusi. Tu zawsze tak.

— Bo nie widziałem przez chwilę — powiedział mężczyzna. — Myślałem, że może dziś zaćmienie...

— Dziś nie ma zaćmienia. Dziś przypada akurat święto kobiet. Nawet rano była nagonka w radiu, żeby dzisiaj kochać nasze panie. Bo mają to swoje święto. Zaćmienia nie ma. Nie

przypada. Ale wczoraj było lepsze zaćmienie. Albo przedwczoraj. Szkoda gadać. Tu jestem. A pan w drugą stronę stoi.

I mężczyzna odwrócił się gwałtownie i wysilił nabiegłe krwią oczy i zobaczył przed sobą starego człowieka.

— Tu pan jest — powiedział. — Bo już myślałem, że rozmawiam sam ze sobą. A gdzie jest Gęsia?

— Jaka Gęsia?

— Ulica Gęsia. Gdzie jest ulica Gęsia? Nie mogę coś trafić.

— Jaka Gęsia? Nie ma takiej. Wybrał się pan z tą Gęsią.

— Jak to nie ma? Na planie jest.

— Kiedyś może była. Kiedy to było? Ale wszystko poszło. Tu, gdzie była Gęsia, leci Anielewicza. A Gęsią pamiętam. Teraz jej nie ma. Poszła.

— To gdzie jest Gęsiówka?

— Jaka Gęsiówka...

— No więzienie przy Gęsiej. Gęsiówka. Szukam Gęsiówki. Kogoś tam mam ze znajomych. Polityczny. Na Gęsiówce. To trzeba zdokumentować.

— Nie ma Gęsiówki. Poszła. Jeszcze za Gomułki. Jak pan może tam kogoś mieć, jak jej nie ma. Poszła. Tylko pamiętam burzenie, to ten durny naród się rzucił na mury. Z kilofami. Z łopatami. Z czym kto tam miał. Z łomem. Że niby złota pożydowskiego szukać. Taka była pazerność na to pożydowskie. I gdzie. W więzieniu. Że w murach zamurowane. Taki ciemny naród otumaniony. Wszędzie to złoto pożydowskie widział. W murze więziennym. Z czym kto miał. Z dłućkiem. Z gazrurką. Z gołymi pazurami. Nie durny naród? Jak te mongoły. Jak ta szarańcz. To coś się panu poplątało z tą Gęsiówką, bo ja tu każdy teren znam. Ja się tu przymierzam na stróża.

— Wjechałem na górę — powiedział mężczyzna. — Żeby z najwyższego piętra się rozejrzeć. Bo nie mogę znaleźć. Ale tam na klatce nie ma okien. No to zjechałem i szukam. Jak kamień w wodę ta Gęsiówka. Mam tam kogoś ze znajomych.

— Poszła, panie. Tu wszystko poszło. Tu getto. A po Gęsiówce tylko ten goły plac został. Tu. O. Tu. Gdzie stoimy. Tu, gdzie ta górka, był dołek. Karczer. Karc. Dołek. Tu. Znam teren. Ten plac. Teraz go nie widać, bo zastłonięty. Mgła. Jak to tutaj.

— To może on nie siedzi. Tylko gra. Coś mi świta. Mogłem się pomylić. On może grać, a nie siedzieć. Może grać na Gęsiówce. To też trzeba zdokumentować.

— Tu getto. Tu czasem ziemia ceglówkę wypłuje. Jakby z piwnic. Wyłażą czasem te ceglówki spod ziemi.

— Tak. Pomieszało mi się. On tu gra. Tu polityczni grają w piłkę, raz na tydzień. Opozycjni. Pomyliło mi się. Bo on albo siedzi, albo gra. Więc najpierw myślałem, że on siedzi na Gęsiówce. Teraz sobie przypominam, że gra akurat. A nie siedzi.

— Ganiała tu taka swołocz za piłką. Stare chłopcy. I dalej gania. Pan mówi polityczni. Co pan mówi. Przecież tu tylko kości i popiół pod samą trawą. Ja myślałem, że to łobuzy tak tu ganiają. Że komuś zależy, żeby tu ganiali za piłką. Że tak mają nakazane, żeby tu. Ale polityczny za piłką? Po cmentarzu? Patrz pan. Bo to pożydowskie. Niczyje. No to sięgają jak po swoje. Pewny pan jest?

— Grają tu. Raz na tydzień. Ja utrwalam zdarzenia.

— Nawet myślałem, żeby pogonić — powiedział stary. — Tylko się bałem, że mnie przetrąca od razu. Ale tak, to pogonię. Jak obejmę stróżowanie. Bo w danej sytuacji nie mam uprawnień, żeby interweniować. Tu wszystko park plac zabaw nazwali. Tablica jest informacyjna. Regulamin. Żeby nie zanieczyszczać. Na rowerach nie jeździć. Jeszcze tam stawy są na regulaminie, ale zamalowane. Gdzie tu stawy? Żeby nie zanieczyszczać stawów. Nigdy stawu tu nie było. To zamalowali stawy. I pod park plac zabaw podciągnęli. Mówi pan polityczni. A tu gdzie stoimy, to było wejście do kanału za powstania żydowskiego. Tu. Wejście do kanału. Oni też byli polityczni. Tak, czy nie? Wychodzi na to, że ogólnie jako społeczeństwo jesteśmy narodem skołowanym na amen. I zgłupieliśmy do reszty. Jak tak. Ze wszystkich stron. Tu niedawno podjechali polonezem. Wszystko wiem. Wyskoczyli i zaczęli rzucać w pomnik. Do dziś frędzle wiszą. Nikt nie uprzęta. To jajka były, tylko nie widać w tej mgłę. Stara się wlecze, o chłopaka się opiera. Chłopak na szyi ma zacieki. Ojciec niesie dziecko. Na dłoni ma zacieki. Tak idą na tym pomniku, na Stawki, do pociągu. Tam ich ładowali, gdzie stacja benzynowa wystawiona. To jaka w tym wszystkim polityka. Z benzyną się pchać na plac przeładunkowy? Ktoś ma w tym swoją politykę. Ale żeby się z piłką pchać na grzy? Dobrze, że mgła zaślania. Jak będę miał uprawnienia, to pogonię. Tylko jak te uprawnienia dostać? Bo na mnie się sekretarka obraziła i wbiła mi do dowodu, że jestem ślepy. A jaki ja ślepy? Staram się na tego stróża, ale oni mi mówią, że jak ja stróż, jak ja ślepy jestem. To ja mówię, że widzę i pokazuję, że widzę. Oni, że w dowodzie ślepy. Jaki ślepy? To żebym dowód zmienił. A jak dowód zmieniać, jak mam w dowodzie, że jestem ślepy. Ta ślepotą będzie się za mną wlokła i w nowy dowód też mi ją wbiją. A ja wszystko widzę. Tam, po tamtej stronie wisi gablota na ulicy. Festyn młodości. I są fotografie.

Przeciąganie liny. Niektóre fotografie zupełnie się pozwiły. Przeciąganie liny się trzyma. Nie widać tego stąd, ale ja wiem. Pan nie zobaczy, a ja widzę. Zakurzone fotografie. Na środku placu jest piaskownica dla dzieciaków. Obmurowana starymi cegłówkami. Jeszcze gettowymi. Też ktoś miał w tym swoją politykę. Jakbym dostał tego stróża, to bym to zaczął wszystko wyświetlać. Chociaż strach. A tędy leciał przed wojną tramwaj. Linia Okólna.

— To wszystko trzeba będzie zdokumentować — mruzczał mężczyzna i dotykał bezmyślnie brzucha i nagle się ocknął i zebrał spodnie w garść i gorączkowo zaczął się obmacywać i wypychać dłonie za pasek... A potem zeszytniał i wyszeptał; wykradziono mi dokumentację... Nie ma. Zdjęcia. Notatki. Wszystko. Tyle jeżdżenia. Podróże. Gdzie ja nie byłem. Teraz wracam z takiego miasta; w latach pięćdziesiątych tak tam wybudowali bloki, że tworzyły słowo Stalin. Ale to było widoczne tylko z lotu ptaka. Dopiero potem zrobili różne przybudówki i to słowo znikło. Miałem wszystko włączone do dokumentacji. Znalazłem fabrykę w lesie i jestem pewny, że tam leci produkcja zbrojeniowa, bo po co by była w lesie; miałem fotografię...

A na fotografii, która została w windzie, był obraz jakiejś fabryki w lesie, ogrodzonej ażurowym parkanem z betonu, za którym walały się rury; wokół ciemniały łachy topniejącego śniegu, który odkrywał usypiska opakowań po lekarstwach, jeszcze z jesiennego włamania do wagonu kolejowego; nagle odezwała się w ciszy syrena na przerwę, a potem rozpoczął pracę radiowęzeł i plac załała chwacka muzyka, a gdy się urwała, odezwały się głosy załogi, nagrane z okazji kończącego się roku, który już dawno poszedł w zapomnienie, ale pracownik radiowęzła nie miał innych nagrań; jaki był ten rok co się kończy, czy było coś specjalnego; jak z nazwiskami mam mówić, to nazwisk nie będę mówił; nie, nie, nie chodzi o nazwiska, tylko czy coś specjalnego było; specjalnego, to nie; a może coś szczególnego; też nic szczególnego; to może jakiś dzień ważny; ważny, ważny, to chyba będzie ten dzień w nowy rok, znaczy jutro...; no więc w zasadzie słuszny bunt robotników, odezwał się inny głos; w zasadzie niezadowolone klasy wykorzystała nieliczna grupka; tak, tak, ale czy coś szczególnego było w tym roku, co się kończy; szczególnego, to nie; a to może coś specjalnego; specjalnie, to mamy ten pluralis w związku zawodowym; a pani miała coś szczególnego; coś szczególnego, to nie było za grosz; raczej w zasadzie robota głupiego i tak w koło macieju; a pani czego by sobie życzyła w tym nadchodzącym nowym roku, który jest tuż, tuż; ja nie wiem, jak ktoś inny, ale ja to raczej nic; a potem podwórce

ogarnęła skoczna muzyka i poderwała stado ptactwa, które fru-
nęło ponad bramą z napisem niech żyje pokój po angielsku...

Zakrzepła mgła nad placem odsoniła łom budynku. Szare
okna na piętrze były zaklejone na krzyż paskami papieru. Obok
pralni chemicznej robotnicy porzucili pracę w rozpoczętym wyko-
pie; pozostał garb ziemi nad otworem i spęczniałe okrucy
bursztynowych cegieł i strzęp bańki po mleku, w jakich ukrywano
tu kiedyś ważne papiery.

Przez oponę mgły przedostał się nagły okrzyk, strzelaj, strzelaj
i krzyki, a potem tępy głos gwizdka.

— Słyszysz pan? — powiedział stary. — Strzelają. Niech to
piorun strzeli. W regulaminie stoi napisane jak byk, że przeby-
wającym w parku i na zieleńcach zabrania się jazdy rowerami
i innymi pojazdami, niszczenia architektury i urządzeń parkowych,
no i kopania dołów. A oni sobie kopią piłkę. Gole strzelają.
Pod regulamin nie da się tego podciągnąć. Najwyżej pod rozum.

Ale mężczyzna nie słuchał i jeszcze dla pewności obmacywał
brzech; patrz pan, nawet nie zauważyłem, jak mi wyciągali;
jeden moment i wszystko, cała robota przepadła; wszystko miałem
włączone; takie zdjęcie zdobyłem; ludzie na rampie, wagony;
sprawdzanie, co tam na wschód leci w tych wagonach od naszej
strony, w nocy; duża biegłość fotografowania...

I latarki na rampie zamigotały; w ciemnościach pochyłały
się liczne sylwetki; ludzie zgrabiętymi palcami wygrzebywali w
śniegu bryłki węgla, które posypały się z samochodów podczas
wyładunku za dnia; pęczniały torby i teczki, a dłonie ważyły każdy
kamień i grudkę śniegu; i znowu zbieraj człowieku i zbieraj;
ile tak można zbierać, prostuje się postać, a latarka gaśnie dla
oszczędności baterii; jak zbierałem raz za Niemca, to banszuc
do mnie wymierzył i wystrzelił, ale źle wycentrował i znowu mogę
przez to zbierać, a tak, to bym dawno ziemię gryzł; i znow
błyska latarka, a palce zaczynają przesiewać śnieg...

— Tak, tak. Różni się tu gromadzili, jak tamci grali i chcieli
się dołączyć — powiedział stary. — Ale nie dało rady. Tamci
już mieli swoje drużyny i nie dopuszczali. I z dużą wściekłością
grali zawsze, kopali się po nogach, panie, aż te nogi jęczały.

A na trawniku właściciel samochodu cofał się powoli i z prze-
krzywioną głową wpatrywał się w samochód, a potem znieacka
rzucił się do karoserii, wyciągał z kubła szmatę z kłębem piany
i tarł jakieś wypatrzone miejsce i znow cofał się chyłkiem z prze-
krzywioną na ramię głową; tu jest taki, co ciągle myje samochód;
pogoniłbym go z tym myciem, ale strach; jeszcze człowieka
przetną... No to myje...

Mężczyzna pochylił się szybko i wsunął rękę do nogawki

spodni i sięgnął od dołu aż nad kolano, a potem wyprostował się z rezygnacją.

— A zdjęcie chwila pociechy z księdzem? To co? — krzyknął nagle i palnął się dłonią w czoło.

Izba na fotografii była nędzna, z kilkoma sprzętami, z koślawym stołem, nakrytym ceratą; za stołem siedział ksiądz, za jego plecami czał się ministrant w komży, a wokół księdza stała w powadze rodzina; w głębi izby, na wyrku, leżał ojciec tej rodziny, podpierając się na łokciu.

I zanosił się chrapliwym kaszlem, a potem próbował się unieść i usiąść, ale zaraz opadał na łokieć i tylko wykrzykiwał poprzez kaszel, celując palcem w stronę stołu.

— Żona pije! Córka pije! Zięć pije! Wnuczka pije! Wszystkie piją! Ja jeden w rodzinie nie piję!... Wszystkie piją!

— A kto był we Warszawie w bordelu? Jeszcze przed wojną? — wrzasnęła od stołu stara. — Kto?

— Ale zapłaciłem! — wycharczał stary.

— Jak zapłacone, to w porządku — zaśmiał się cichutko ksiądz i zręcznie zgarnął ze stołu kopertę.

— Ja też za swoje piję — krzyknął hardo zięć.

— Jak za swoje, to nie grzech — mruknął ksiądz, podniósł się i ruszył do drzwi, popychając przed sobą gapiowatego ministranta. Już w sieni uchylił koperty, zerknął szybko i oddał ją ministrantowi; nanieś na grafik, tylko się nie pomył; jak to trzeba sprawdzać, jak to trzeba sprawdzać, żeby gazet do kopert nie napchali...

Poprzez włókna mgły dochodził tupot nóg i chrapliwe oddechy ścigających piłkę i nagłe okrzyki bólu.

— Napije się pan? — zapytał mężczyzna.

— Ja nie piję — powiedział stary i przesunął dłonią po brązowych kamieniach, którymi obmurowany był właz do kanału. — Bo nie mogę. Żebym mógł, to bym się raczej napił. — I pochylił się nad wrytym napisem i jakby go bezgłośnie sylabizował.

— Wszystko psu na budę — powiedział. — Ale jakby przeżyli, to by pożyli tych dwadzieścia pięć lat, do rocznicy. A potem znowu transport. Z dworca Gdańskiego do Wiednia. Tu niedaleko. Zaraz za placem przeładunkowym. W jednym miejscu się to dokończyło. Jakby ktoś miał w tym swoją politykę. Albo dla wygody. Tylko że dziś? Co to za wygoda? Co to za polityka? Tak się ciągle nad nimi znęcać. Znęcali się, jak byli. Znęcają się, jak ich nie ma. Nawet nad pomnikiem się znęcają. Nad taką cegłówką. Jaka to polityka? Jaki rozum? Psu na budę z tym wszystkim. Psu na budę. A opłakać nie ma komu. Choć opłakać.

Ale mężczyzna nie słuchał, tylko wpatrywał się w okrągły wąż do kanału i marszczył czoło; taką dokumentację mieć, zastanawiał się, taką dokumentację; otwiera się wąż i oni wychodzą, bo tam byli...

— Co? — zapytał stary.

— Nic. Nic. Przepadło bezpowrotnie. Tego się nie da odtworzyć. Już złożone w wiadomych archiwach. Miałem zdjęcie kobiet na miejscu tragedii. Krew na śniegu. Komuś bardzo zależało, żeby to nie ujrzało światła.

Na zdjęciu, które mężczyzna zdeptał w windzie, widać było mgławce sylwetki dwóch kobiet, stojących w śniegu; dzieliła je czarna plama, przypominająca ślad skrzepniętej krwi; ekspres leciał, to będzie szósta, gdzieś szósta albo gdzieś siódma; gdzieś będzie pomiędzy szóstą, a siódmą; teraz leciał, przed sekundą.

— I taka robota bez tego zegarka, bez godziny — powiedziała kobieta.

— No i pili we dwóch, pili, nie mieli zagryźć, jeden usnął, to mu ten kawałek dupy wyciął scyzorykiem na zakąskę, że taka niespodzianka, jak się zbudzi, że zakąska się znalazła i się wykrwawił i znaleźli go nieżywego, właśnie tu, nawet się nie spostrzegł i po chłopie; tak we dwóch pili, tu, w krzakach i krew uszła całkowicie.

— A może być, że zamarzył? Bo coś mało tej krwi?

— Może być, może być, że i zamarzył. Ale gadali, że scyzorykiem, na zakąskę. Że taka niespodzianka. I gdzie tu rozum.

Stary słuchał odgłosów walki o piłkę; przykładał dłoń do ucha i unosił wysoko głowę jak ślepiec.

— Tyle zabiegów na marne. I kto mi teraz w to wszystko uwierzy? — odezwał się mężczyzna, wciągnął brzuch, sięgnął za pasek od spodni i wydobył butelkę. Potem odchylił głowę do tyłu, jakby słuchał meczu, tak jak stary i napił się i nagle rozżalił; wyemigrować stąd wreszcie, wyemigrować jak najdalej; dosyć tej walki, tej szarpaniny, ile tak można; chciałbym być czyścibutem w Nowym Jorku, na takiej ulicy teatrów i czyścić buty różnym aktorom i reżyserom i chodzić za każde zarobione pieniądze do teatrów i coraz więcej oglądać sztuk i już rozpoznawać aktorów i czyścić te buty i każdemu coś szepnąć; nie z tej strony wchodzić sceny, tylko z tej; nie tak, a tak, nie wtedy się wykrzywić, tylko potem, wyrazu więcej dodać, a z czasem się okazuje, że każda moja uwaga to w sztuce więcej tego akcentu, że cyzeluje, szlifuje i z latami jestem najsłynniejszym czyścibutem w Nowym Jorku i aktorzy i reżyserzy lgną do mnie, bo to, co powiem, to się sprawdza całkowicie, wszystkie teatry są ode mnie uzależnione i ode mnie zależy ich sukces i ja pociągam

wszystkie sznurki, no i właśnie wtedy umieram i wszyscy widzą, jak mnie brak i nie mogą beze mnie zrobić ani kroku i szukają mnie i ci wszyscy najszlachetniejsi aktorzy i reżyserzy przychodzą w końcu do tego biednego pokoiku, w którym żyłem i tam, w tym biednym pokoiku, zastają wszystko, co było mi przez te lata najdroższe i widzą tylko egzemplarz Pana Tadeusza i garść ziemi ojczystej... Co ja tu mam jeszcze do roboty? Żadnego ruchu nie można wykonać. Ja swoje już zrobiłem. Teraz niech się tym zajmują młodzi. Na nich kolej.

— Tak, tak — powiedział stary. — A jak wymyślili, żeby stację benzynową budować na placu przeładunkowym, to zapomnieli zrobić zbiorniki pod ziemią. I pierwsze cysterny poszły w ziemię. Tysiące litrów. I taka ta ich polityka. CPN. Na Umschlagplatzu.

— Ja się już więcej nie będę narażał — powiedział mężczyzna i wciągnął brzuch i sięgnął za pasek.

— Ten dom na trzydzieści pięter, co go widać z każdego miejsca, to oni już dwadzieścia parę lat budują i nie mogą wybudować — powiedział stary. Bo go postawili na miejscu synagogi. I rabin przeklął. Rabin przeklął.

— Jak jeszcze miałem żonę, to żona zawsze mi mówiła, że to jest walka z wiatrakami — zamyslił się mężczyzna. I że nikt tego wkładu nie doceni. A teraz? Jak zostałem z pustymi rękami?

Wiatr uchylił na moment mgły i widać było, że tamci skończyli już grę i teraz stoją, każdy oddzielnie, schyleni ku ziemi, jakby czegoś wypatrywali i ciężko chwytają powietrze.

— Coś przestali grać — nasłuchiwał stary. Kiedyś to w ogóle nie chcieli grać i powiedzieli, że nie będą grali, że całe boisko mają zapaskudzone i że tu taka hołota mieszka, co psy im wyprawia na boisko i jak tu grać w takich warunkach; szambo, nie stadion... To wtedy było, jak na bunkrze Anielewicza, pod kamieniem pamiątkowym ktoś rozpałił ognisko. Tu zaraz ten bunkier; zimą, to matki dzieci na sanki tam prowadzą i dzieci zjeżdżają z bunkra; kawałek kamienia odpętko od tego żaru, co szedł od ognia... Wtedy nie chcieli grać, wtedy...

— A nie może ich pan pogonić?

— Że jak?

— Nie może pan złapać jakiejś lagi? I pogonić? Lagą po grzbietach?

— Pogoniłoby się. Ale ja nie mam uprawnień. I jak te uprawnienia dostać? Bo na mnie się sekretarka obraziła i wbiła mi do dowodu, że jestem ślepy...

— A bez uprawnień? Następnym razem, jak będą grali?

Pan by ich tą lagą napażał, opozycję, a ja bym to zdokumentował na fotografii. Przyniosę aparat fotograficzny; pan ich będzie lał, ja będę cykał. A potem pan im porżnie nożem piłkę. Będzie dokument prześladowań. No? — zapalił się mężczyzna i pochylił się do przodu i wbijał wzrok w mgłę, która znowu oddalała od niego graczy, aż przestał ich widzieć.

A stary już nie słuchał i odwrócił się i podniósł głowę; ruszył z podniesioną głową, jakby chciał słyszeć przed sobą drogę i stąpał w ciszy, ostrożnie stawiając kroki i zasłoniło go skrzydło ciemnego pomnika i mgły.

— No? Napije się pan? — zapytał z ożywieniem mężczyzna. I co z tymi Żydami? Że co? Bo pan mówił. Napije się pan?

I obejrzał się z lękiem i rozglądał się na wszystkie strony, a potem końcami palców nacisnął obrzmiałe powieki i mamrotał; zaćmienie, zaćmienie jakieś, nic nie widać, zaćma...

ŚWIAT ŚWIATÓW

Na miasto opadał już monotony świt i ciemność opornie wsiąkała w porowate mury.

Połamana ławka parkowa stała przed sklepem spożywczym, a na ławce spało ociężałym snem dwóch zapuszczonych mężczyzn; sen otumanił ich jeszcze poprzedniego wieczoru, przed zamknięciem sklepu, zanim zdążyli wypić do końca piwo z butelek i od wielu godzin trzymali te butelki w odrętwiałych dłoniach i nie uronili ani kropli, a światło srebrzyło szczerę na ich policzkach.

Ze strzelistych topoli sączył się biały puch i osiadał na głowach mężczyzn i na ramionach i na udach i kolanach i mężczyźni wyglądali jak dwa zdezelowane anioły; jeden z aniołów miarowo szurał opuchniętymi stopami po płycie chodnikowej; musiała mu się śnić ucieczka...

Przy krawężniku zatrzymała się ciężarówka, silnik zgaśł, a głowa kierowcy poleciała natychmiast w dół, na kierownicę i szklisty klakson pobudził ptactwo w koronach topoli, ale śpiący na ławce ani drgnęli.

Posępny ładowacz opuścił tylną klapę i ściągał z samochodu skrzynki z butelkami, które dzwięczały jak japońskie dzwoneczki i z rozmachem ustawiał je w piramidę, jedną na drugiej, a gdy wierzchołek piramidy zaczynał się już chwiać, stalowym pogrzebaczem zaczepiał dolną skrzynkę i pochylał się jak burłak i z mozołem brnął w stronę oszklonych drzwi sklepowych, tak długo, dopóki rozpalonym w wysiłku czołem nie dotknął szyby w drzwiach i tak zastygał i odpoczywał w nagłej ciszy, a potem ocykał się i wracał do samochodu i znów ściągał skrzynki z butelkami i walił nimi o beton, jakby chciał zagłuszyć ból.

— No i co tak piszczeć tymi skrzynkami — odezwał się niespodziewanie głos z mroku, jaki panował jeszcze pod ścianą sąsiedniego domu.

— No i na co tyle tej wody sodowej naściągali. A do żarcia, to nic nie ma. Na co tyle tej wody.

— Wodę przyjdzie zreć.

— Albo gorzej.

A mężczyzna włożył za sobą piramidę skrzynek w stronę sklepu, a potem oparł się czołem o chłodne szkło, a wtedy przez szparę w drzwiach sklepowych wybiegł jakiś olbrzymi owad i zatrzymał się przy skrzynkach i strzygł długimi wąsami.

— Karaluch, karaluch — odezwały się głosy.

— Karaluch! Zabić go!

— To nie karaluch. To konik polny.

— Jaki konik. W życiu. Taki wielki? Czarny? Karaluch!

— To nie karaluch! Co ja? Karalucha nie widziałam? Pasikonik.

— Skąd? Taki olbrzym? Konik polny zielonkawy będzie.

— I skacze — dopowiedział głos. — A toto nic nie skacze. Tylko się przesuwa.

— Nie skacze, bo może obżarty...

— Jaki obżarty! Jak tu samej wody nawieźli. Wody się nażarł!

— Może opity wody.

— Sam pan jesteś opity wody. To będzie karaluch.

A mężczyzna oderwał rozpalone czoło od szyby, bez słowa uniósł nad głowę metalowy pręt, którym ciągnął skrzynki i zastygł na moment w tym pięknym geście, a potem uderzył owada z taką siłą, że z płyty chodnikowej sypnęły się iskry.

— O. Pogrzebaczem go walnął w łeb. Tego karalucha — odezwał się kobiecy głos.

— Jakby to był karaluch, to by się bał walnąć. A konika polnego to się nie boi.

— Ale nie trafił go.

— Może nie chciał trafić. Jakby chciał, to by jego trafił.

W stronę tych matowych głosów szło dwóch mężczyzn; za-trzymali się i przywitali, a potem zaczęli się rozglądać; też do biura paszportowego, zapytał jeden; tak, tak i znowu się rozej-rzeli; to będzie gdzieś tutaj; mrok, kryjący budynek wolno opadał, a oni ujrzeni teraz długą płaską kolejkę, przyklejoną do popielatej ściany.

— Pani jest ostatnia? — zapytał jeden z mężczyzn.

— Ja nie wiem — odpowiedziała kobieta. Ja mam numer sto dwanaście i tego się trzymam. Tam na początku jest społeczny komitet kolejkowy z listą. Trzeba się wpisać.

— Tak wcześniej i już sto dwanaście?

— Panie. My tu od pierwszej w nocy stoimy. Ja niedawno przyszedłem, to jestem numer sto dwanaście.

— Nazwiska! — usłyszeli za sobą głos i drgnęli i odwrócili się, ale to był tylko przewodniczący komitetu kolejkowego, który kurczowo zaciskał palce na cienkim szkolnym zeszytcie, więc wymienili swoje nazwiska, a on kanciastym pismem technicznym wpisał je w odpowiednich rubrykach i powiedział; pan jest sto trzynaście, pan jest sto czternaście, lista jest odczytywana co godzina i weryfikowana; jak się jaki numer odłączy, to przepada; idę do czoła kolejki.

— Sto czternaście. To jest cały dzień stania — powiedział mężczyzna.

— Nie, nie, najwyżej do południa — odpowiedziała sto dwanaście i umilkła.

— Trzeba chyba stać — powiedział mężczyzna. — Teraz raczej dają te paszporty, więc trzeba stać. Może będziemy stać na zmianę?

— Nie, nie — odezwała się kobieta. — Numer należy potwierdzać osobiście. Inaczej się odpada z listy. Duży reżim.

Oni nie odpowiedzieli.

— Dopiero o ósmej otwierają biuro — powiedziała jeszcze kobieta. — Ładnych parę godzin.

Jeden z nich wyciągnął papierosa.

— Pamiętasz ostatnie spotkanie?

— Na komendzie. Mieliśmy wtedy wezwania i parę godzin trzymali nas na korytarzu. I potem przyszedł jakiś monter i szperał w instalacji przy naszej ławce, bo myśleli, że się podsłuch zepsuł. A myśmy się po prostu nie odzywali.

— Tam był taki taksówkarz, co szukał swojego pasażera, który wszedł na chwilę i nie wyszedł. Pamiętasz? Dopytywał się, czy jest tam jakieś inne wyjście. Dyżurny się wypierał. Ja jeszcze dwa razy miałem wezwania i poznałem tego taksówkarza. Ciągle tam wpadał i wypytywał o tamtego pasażera i obliczał, ile mu licznik wybił do tej pory. Już go mieli tam dość. Aż po pół roku mu się przyznali, że ten pasażer wyszedł na amnestię. A taksówkarz wyemigrował i wrócił do zawodu. Wykłada matematykę na jakimś uniwersytecie.

— Rozmawialiśmy wtedy o tym podsłuchu. Że to dobra scenka do opisania. Opisałeś to?

— Nie.

— Ja też nie.

— Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem jak. Tak jest teraz ze wszystkim. Nie wiem, o czym pisać. Co jest ważne. Co z tego będzie ważne w przyszłości. Na zachodzie nam zazdroszczą

takiego ciekawego kraju do opisywactwa. A ja nie wiem, co w tym ciekawego. I co istotnego. To jest zamglone. Rozmyte. Rozmydlone. I to jest istota tych czasów i w ogóle naszej epoki. Szara piana. A wszyscy teraz piszą pamiętniki. Dzienniki. Wydają jakieś zapiski. Wszyscy uciekają w przeszłość. Wydają to pod ziemią. Nad ziemią. Zalew zapisków. Wszyscy uciekają w przeszłość. Nikt nie wie, jak się przymierzyć do tych naszych czasów.

— Z jednej strony jest szarzyzna nie do określenia i uchwycenia. A z drugiej mity. Jak walczyć z mitami? Z mitologią? Ten kraj jest pogrążony w mitologii. Zawsze był. Jak to tknąć? Zawsze było na to za wcześnie. Zawsze trzeba było czekać aż mit zblaknie trochę. Tylko, że on nie chciał blaknąć. W tym kraju nawet głupota może być święta. Aż strach ruszyć frazes. Może kiedyś. Bo teraz to podpadające. Wszyscy wieją w przeszłość. Ja też. W swoją przeszłość, własną, wewnętrzną. To mnie ciekawi. A na razie postaram się wystać ten paszport i pojechać i cieszyć się myślą, że mogę albo zostać, albo wrócić do kraju. Albo ogłosić, że zostaję i przyglądać się, ilu ludziom, którzy zostali wcześniej, napędza to strachu. Kolejna gęba do stołu...

A do kolejki pod biurem paszportowym dołącza chyłkiem młody człowiek i igrnie do ściany domu i chowa twarz w kołnierzyku koszuli i obserwuje bacznie sytuację...

— Pan myśli, że jest sens? — pyta po chwili, oswojony.

— Jaki sens?

— No, żebym składał. Dadzą to?

— Pewnie, że dadzą. Teraz dają.

— Ale ja dopiero co z woja.

— A to nie wiem. Z tym wojskiem, to chyba trzeba trochę odczekać. Nie wiem.

— Z drugiej strony nie odbyłem służby w pełni. Odbyłem tylko miesiąc. Musieli mnie zwolnić, bo popadłem w schizofrenię. Na skutek tego, że nie mogłem unieść przeciążenia tajemnicami wojskowymi. Tej odpowiedzialności. Pełnego cyklu nie odbyłem, broń zdałem. To jest sens?

— Jaki sens? — zainteresował się ktoś z kolejki.

— No, żebym składał. Dadzą to?

— Pewnie, że dadzą. Teraz dają.

— Ale ja dopiero co z woja. Tyle, że broń zdałem.

— A mój znajomy znowu, jak mu się syn urodził, to go zarejestrował jako córkę, żeby ją, znaczy żeby jego nie wzięli do wojska. Ale się wydało, bo ktoś doniósł i nie dostał paszportu. Znaczy ojciec. A ta córka, to nie wiem. Czy ten syn. Nawet duże kłopoty były. Nieprzyjemności. Znakiem tego, nie wiado-

mo, jak to jest z wojskową osobą. Raz dają, raz nie dają. Żeby w tej niepewności trzymać.

— No to ja już będę leciał. Jak tak — odpowiedział i sunął, oparty ramieniem o ścianę, jakby szukał oparcia i szybkim ruchem skręcił za dom. I jeszcze na moment popatrzył zza węgła...

— No, ale co będzie z tym krajem? — zamyślił się jeden z nich. — Co dalej? Będzie co jeszcze z tym krajem?

— Pewnie. Tu się jeszcze będą działy ciekawe rzeczy. Tylko że już nie za naszego życia. Kiedyś tak. A na razie będą nas pogrążać. Ci oni. I sami się będziemy pogrążać. Aż się zatknjemy. Ten kraj nie jest nikomu potrzebny do szczęścia. Tylko ludzie nie chcą w to uwierzyć, że my wszystkim dookoła przeskadzamy. Nie chcą w to uwierzyć. I kiedyś znowu coś się zacznie dziać. Kiedyś. My tego na szczęście już nie zobaczymy. A nas już wszyscy mają dość. I z lewej. I z prawej. I z dołu też. Ten kraj miota się po mapie we wszystkie strony. Raz jest. Raz go nie ma. Znika w jednym miejscu. Pojawia się nagle w innym. I tak w kółko. Mają nas dość i boją się nas. Albo raczej obawiają.

A martwa ręka śpiącego na ławce drgnęła i butelka odruchowo powędrowała ku ustom; wargi wysunęły się do przodu i wessały puszysty krążek z pyłków topoli, który osiadł na szyjce jak piana i śpiący zachłysnął się gwałtownie i stracił na chwilę oddech, ale tylko zmienił nieznacznie pozycję i doszedł do oddechu i spał i zaskowyczał przez sen...

Do kolejki dopada kobieta i uspokaja oddech; ludzie, mówi i patrzy przed siebie, ludzie, puście mnie bez kolejki. Co?

— No jeszcze czego. Wybrała się! — i ludzie ze śmiechem wzruszają ramionami i nawet nie odwracają głów, a obok kobiety natychmiast pojawił się przewodniczący komitetu kolejkowego, który kurczowo zaciskał palce na cienkim szkolnym zeszytcie; kpi pani, czy pani o drogę pyta, powiedział i stuknął suchym palcem w zielone okładki.

— Ale ja jestem nietypowa, ja już tydzień próbuję się tu dostać, bo jak mi te szyfry wpisywali, co je cyframi wpisują do paszportu, to się omylili i mi szyfrem wpisali, że ja jestem ksiądz. I wypuścić mnie nie chcą za granicę, to co ja mam robić. Ksiądz ma pani wpisanego, mówią, a jaki pani ksiądz, mówią. I żeby to wyjaśnić, to wtedy pogadamy, mówią.

— Ksiądz, nie ksiądz — odpowiedział przewodniczący komitetu kolejkowego. — Ja tam nie wnिकam. Ale tego musi się trzymać każdy jeden — i potrząsnął szkolnym zeszytem, a kolejka z aprobatą pokiwała licznymi głowami.

— Ja już mam dość tych ciekawych rzeczy — powiedział

jeden z nich. — Ja w tym wszystkim już nie chcę uczestniczyć. I nie mogę uczestniczyć, bo nie potrafię o tych ciekawych rzeczach pisać. A tylko to byłoby moim uczestnictwem. Przez tyle lat potrafiłem znajdować klucz; zresztą ten klucz istniał, był gotowy. Teraz trzeba pisać wprost, a ja nie potrafię pisać wprost, bo mam inaczej ułożoną rękę. I ezopową głowę. I nie umiem wyjść poza tamten język aluzyjny, poza tamte formy, choć tamto się zużyło. I już nijak nie przystaję do tej epoki. Brak mi nowego języka. Wszystko, co próbuję zrobić, jest bardzo słuszne, oczywiście, tylko niestety martwe. Agitacyjne. I tak kluczę w miejscu, w sobie, jak wszyscy i to jest moja przestrzeń, tak, jak przestrzeń wszystkich. I tak się kręcimy w koło. Mało kto próbuje wystawić głowę. Brak nam narzędzi. To wszystko to formy zastępcze. To jest czekanie.

— Każdy na coś czeka — dorzuca ktoś z boku, kto usiłował złowić te słowa i pochylał się i przekrzywił głowę. — Każdy na coś czeka. Tylko nie wiadomo na co — mówi i uśmiecha się błogo.

Kolejka stoi w milczeniu i sennie czeka i nic nie jest w stanie teraz jej poruszyć i tylko jakaś kobieta patrzy, kiwa nagle głową i mówi, nie wiadomo do kogo i nawet nie szuka poparcia w obcych twarzach; a mojemu synowi, to sam rektor kawkę podaje, tak; magister i to z wyższym wykształceniem i kręci głową ze zdziwieniem i milknie...

— No więc chustki koniecznie. Chustki do nosa.

— A, chustki tak. Obowiązkowo.

— I chińskie chustki. Takie z nicią. O, to tak.

— Pościel. Jak najbardziej pościel.

— Tylko gdzie to wszystko kupić. Te chustki do nosa. Te chińskie chustki. Z nicią. Ta pościel. Gdzie to wszystko kupić...

— Ostatnio rzucili do naszego kiosku Ruchu. Zawalony pościelą, że nie ma miejsca na gazety. Duża wygoda, bo czynny do dwudziestej drugiej. W naszym kiosku można nabyć. Ludzie już po nocy niosą tę pościel, bo do dwudziestej drugiej czynne. Do nocy z tymi prześcieradłami przemykają się, do nocy.

— Kryształ, oczywiście. Żelazka.

— Ale żelazka nieosiągalne.

— Nieosiągalne, nieosiągalne. Trzeba organizować.

— Pan mu to, on panu żelazko. Co pan? Wczorajszy? Ja pana będę życia uczył? Starego chłopa? Panie!

— Lisy, rzecz jasna. Lisy.

— A, lisy. Pewnie.

— Kurtki z madery.

— Części do łądy. Każda część. Jaka się tylko nawinie. Każdy jeden wentylek do koła.

— To wszystko u Sowieców idzie jak woda. Jak przysłowio-
wa woda.

— No a dalej, do Grecji, no to, rzecz jasna, miksery. Dużo mikserów.

— Roboty różne. Kuchenne do kuchni.

— Narzędzia dla remiechów greckich. Każde jedno narzędzie. Śrubstak, nie śrubstak. Mesel. Jakaś mutra. Co popadnie.

— Magnetofony. Telewizory małe. Lisy.

— Pani, ale te lisy, to nie do Ruskich. Pokręciła pani.

— Przecie mówię, że do Greka. Lisy.

— Do Ruskich, to głównie zegarki elektroniczne. Najbardziej łąkome, to z pozytywką. Tam nie ma silnego na zegarek z pozytywką.

— I Bułgaria. Te paski złote, te okulary od słońca, te wisiorry, te klipsy. Jak najbardziej.

— Budziki do Grecji. O budzikach niech się pan nie waży zapomnieć. Dużo piżam. Piłki.

— Ale jakie piłki? Małe? Duże? Do nogi, czy jak?

— Każda jedna piłka dobra. Duża, Mała. Jak leci. Łakomi na te piłki.

— Jak do Grecji, to butle gazowe. Każda ilość. Grzałki brać, bo tam chyba grzałki nie znają, ciemny naród jakiś. Suszarki do włosów.

— Gdzie to wszystko kupować? Przecież tego nie ma! Gdzie to kupować?

— No chyba, że nie w sklepie.

— Wraca pani przez Turcję. Tak? U Turka kupuje pani bawełnę. Tak? Przywozi pani bawełnę do kraju. Tak? I już jest pani dobra. Tak? I spokojnie szykuje pani następny wyjazd. Bo już jest pani dobra.

— Ja bym preferował te zegarki z pozytywką. Ja pracuję na tych zegarkach i one na mnie zarabiają, jak to się mówi. Polecam damski pas do pończoch. Doszedłem do trzystu dwudziestu sztuk w tym pasie. Tyle ładuję obecnie w pas. Od tego sezonu dorzucam również biusthalter. Oni kochają te zegarki z pozytywkami. Oni by się dali porznać za takie cacko.

— Tylko gdzie te cudenka zdobyć? Gdzie?

— Jak pani takich rzeczy nie wie, to co ja z panią będę dyskutował.

— Tylko Grecja. Tylko Grecja.

— To byłby mój pierwszy wyjazd od lat siedemdziesiątych — powiedział jeden z nich. Ja się strasznie boję tego wyjazdu,

bo obawiam się tego, co tu zobaczę, jak stamtąd popatrzę. Nie tam jakiś terror, prześladowania, nędza, te rzeczy. Najbardziej się boję, że to wszystko może być bardzo smutną groteską. Stamtąd można jeszcze oglądać takie smutne groteski. Ale jak już wróczę? Jak się wtedy bronić? Może to nie ma sensu taki wyjazd? Może lepiej trzymać się tego, z czym się człowiek oswoił?

— Jeszcze nie wyjechałeś. Spokojnie. Jeszcze nie wyjechałeś — odpowiedział drugi.

— Patrzę na to wszystko i ciągle mam skojarzenia z Murzynem Żmijewskim.

— Z kim?

— Z Murzynem Żmijewskim.

Było już jasno, ale kolejka pod biurem paszportowym, wciśnięta w mur, nie rzucała się w oczy. Ci, którzy przybywali, musieli się przez chwilę rozglądać, by ją zauważyć, a potem podejść, podać nazwisko przewodniczącemu komisji kolejkowej, otrzymać od niego przydział numeru i ustawić się na końcu i czekać jeszcze jakiś czas czujnie, by się oswoić z grupą, wciągnąć się, poczuć się kimś, kto całkowicie przynależy do kolejki.

Błysnęło słońce i światło uderzyło w dwa anioły, śpiące na ławce i jeden z nich chciał zasłonić oczy i poruszył się niespokojnie i nieostrożnie stoczył się przez wyrwę w ławce wprost na betonowe płyty trotuaru, nie rozlewając ani kropli z butelki, a cień od żerdzi z ławki przeciął mu twarz na pół, od czoła do brody i nadał tej twarzy wyraz zadumy i anioł leżał na trotuarze, a drugi, śpiący na ławce, wyciągnął nagle rękę i lunatycznie zaczął macać żerdzie obok siebie i to miejsce, na którym spoczywał dotąd jego towarzysz, a potem ręka znieruchomiła, a on zaskomlał...

— Kiedyś napisałem artykuł — powiedział jeden z nich. To był już czas coraz większego marazmu, już się nikomu nie chciało pisać; nie chciało albo nie mogło i różne mniej znaczące czasopisma podziemne miały coraz większe kłopoty z tekstami, no i koniecznie była potrzebna polemika z tym artykułem, ale nie miał jej kto napisać albo nie chciał i w końcu musiałem sam napisać polemikę i polemizowałem sam ze sobą i zwalczałem się... A potem jeszcze dołożyłem sobie w liście do redakcji...

— Jak na to spojrzeć z boku, to coraz więcej się widzi elementów z sytuacji Murzyna Żmijewskiego. Mnie samemu już się raz przyśniło, że jestem Murzynem Żmijewskim — powiedział drugi.

— A który to ten Murzyn? Co z tym Murzynem?

— Był taki spęd w Warszawie, w pięćdziesiątym piątym. Pamiętasz?

— Pewnie, że pamiętam. To się nazywało dokładnie tak: Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów o pokój i przyjaźń.

— Tak jest. No i odbył się ten festiwal i delegacje rozjechały się po świecie i po kraju i jedna delegatka z Białegostoku poczuła, że coś nie jest z nią w porządku. A po dziewięciu miesiącach wszystko było jasne, urodził się Murzyn, rozumiesz. Tak się zapamiętała na tym festiwalu. Postępowy czarny delegat był już nie do zidentyfikowania, więc ten mały Murzynek dostał po matce nazwisko Żmijewski i chował się w Białymstoku, mówił tamtejszą gwarą i nawet zaciągał. A potem, to już normalny los. Zapisał się do Solidarności, z czasem stał się poważnym działaczem, no i stan wojenny. Chyba był internowany, ale nie jestem pewien. Założmy, że był, a gdy wyszedł, to po pewnym czasie wyemigrował do Stanów i tam poznał innych Murzynów i zaczął się do nich garnąć, jak do swoich. Ale jak zaczął przekonywać, że prezydent Reagan jest najlepszym prezydentem, jakiego sobie mogli wymarzyć, to dostał od nich w dziób, a potem się to już tak przyjęło; on ich przekonuje do Reagana, a oni go lutują. Taka jest sytuacja Murzyna Żmijewskiego. Z Białegostoku.

— Murzyn Żmijewski — powiedział drugi w zadumie...

A pod biuro paszportowe zajechał mały fiat; szyby miał okraszane kolorowymi naklejkami w obcych językach, ale największa była wypisana po polsku, to ja, Castrol, jestem twoim wiernym olejem; z tyłu była zamontowana dodatkowa wycieraczka, a z przodu specjalne plastikowe skrzydło, by samochód przy dużych szybkościach dobrze trzymał się podłoża i jeszcze antena radiowa na specjalnej sprężynie i jeszcze hak holowniczy, który sterczał spod karoserii i był wymodelowany w kształcie łba kota... i mężczyzna wysiadł i rozejrzał się i zobaczył kolejkę, a gdy ku niej szedł, tracił cały wigor i mała i przygarbił się i upodobił; kobieta przyglądała się badawczo barwnemu samochodowi i zamyśliła się głęboko, a potem powiedziała, mnie to się wydaje, że u nas jest dlatego tak źle, że cały rząd zażydzony...

— No tak — powiedział jeden z nich po chwili. — W jednym kościele nad Wisłą sprzedają Protokoły Mędrców Syjonu. Całkiem jawnie.

— W kościele, w kościele — posłyszała kobieta. — A pan, to jest zdaje się jeden z tych, co dzisiaj krzyczą, że nasz kraj jest przeciwko Żydom. Podnoszą się teraz takie głosy, podnoszą. A co pan, nie wie, przez kogo to jest sterowane? Nie wie pan? Komu może na tym zależeć? Nie wie pan? Co?

— Niech mnie pani nie zaczepia — powiedział cicho i z wyśiłkiem.

— Też coś — obruszyła się kobieta. Też coś. Znalazł się. — I wzruszyła ramionami. — Słyszała pani?

— Im się zawsze pomagało — przytaknęła sąsiadka. — Zawsze. Zawsze. Teraz to się wszystko wyjaśni, bo już zapowiedzieli, że będą wyświetlać białe plamy na historii. A przecież jak mój tatuś widział, jak wieźli ich transportem do obozu, to ich strasznie żałował i aż mu się niedobrze zrobiło. Chociaż pułkownik. Więc co?

I wtedy nieskładne głosy, które było słycać z przecznicy, zabrzmiały pełniej i zza narożnika ukazał się starszawy człowiek z brodą w za ciasnych krótkich spodniach, a za nim karny szereg dzieci w mundurach harcerskich; kołysały się jednostajnie i niosły nad głowami jakieś proporce, znaki i totemy i śpiewały mechanicznie, szare mundury, mundury szare, szary nasz kolor, lecz mina chwacka, gdy wróg się tego najmniej spodziewa, my pojawiaemy się z nienacka.

I mężczyzna w krótkich spodniach obejrzał się i zobaczył, że zmylił krok, więc zadreptał w miejscu i uchwycił rytm i parł naprzód, niesiony przez znużone głosiki; i chwycę butelkę z benzyną, wyskoczę i cisnę benzynę, a potem niech mnie zastrzelą, za białoczerwoną ja zginę...

I nagle te dwa pierzaste anioły poruszyły się i uniosły się powieki i pokazały się oczy jak krwawniki i na twarze zaczęły wypęczać jakiś syty uśmiech i obaj mężczyźni ostrożnie zaczęli stawać na nogi, jakby sprawdzali, czy ich jeszcze uniosą i wsłuchiwali się łakomie w słowa pieśni, a gdy minął ich ostatni harcerz, który potrząsał totodem, zdmuchnęli z butelek białe krążki, usypane z pyłków topoli i łyknęli i splunęli obaj, tak, tak, zabełkotał jeden z nich, tak trzeba i trzeba się pod tym podpisać, młodzież, młodzież i ruszyli chwiejnie za nikonącym szeregiem i dogonili go i próbowali uchwycić krok i jeden potrząsnął głową, by łatwiej dojść do siebie; dobrze trzymają, tak trzeba trzymać i próbowali niezdarnie podjąć pieśń i wyglądali jak dwa anioły stróże, strzegące oddziałku...

— Murzyn Żmijewski? Tak? — odezwał się jeden z nich.

— Z Białegostoku — odpowiedział drugi.

— Już dawno minęła godzina — szemrały ostrożne głosy w kolejce. — Już dawno powinno być otwarte. Wszędzie takie porządki. Byle człowieka zszargać. Byle udręczyć.

— To nie to nawet — powiedział ktoś w zadumie. — To wszystko jest robione po to, żebyśmy się pomiędzy sobą żarli. Cała polityka idzie w tym kierunku.

— Ale coś trzeba zrobić. Już pół godziny powinni przyjmować papiery...

— Niech przewodniczący coś zrobi! Rwał się na tego przewodniczącego, to niech teraz coś zrobi...

— Przewodniczący, przewodniczący — zdenerwował się przewodniczący. — Jak co, to wszyscy od razu na przewodniczącego.

I zebrał się w sobie i unióś rękę i tak delikatnie zastukał do drzwi, że blacha nie odpowiedziała.

A kolejka zamarła w oczekiwaniu i nasłuchiwała; no i sami widzicie, powiedział cicho przewodniczący, ani widu, ani słyhu...

I oparł się bezradnie o blaszane drzwi i zaczepił łokciem o klamkę, a wtedy drzwi nagle ustąpiły i rozwarły się wolno i przewodniczący komisji zdrewniał na moment, a zaraz potem przytomnie cofnął się, jakby się chciał wmieszać w tłum...

I ludzie trwali nieruchomo, ale w drzwiach nikt się nie pojawił i głowy zaczęły się wyciągać do przodu; kolejka zaczęła pulsować nieznacznie; no co jest, co się tam dzieje, co nie wchodzić, zaczęli się niecierpliwić ci z tyłu i napierali na tych, którzy stali bliżej drzwi i wreszcie przewodniczący zdobył się na odwagę i odchrząknął i wyprostował się, a potem poprowadził kolejkę w głąb poczekalni i trzymał przed sobą szkolny szesnastokartkowy zeszyt, jakby się chciał nim osłonić...

Kolejka tłoczyła się z nim bezładnie, szyk się załamał i ludzie już nie przestrzegali porządku, ale nagle ruch ustał i już nikt nie mógł się wepchnąć do pomieszczenia; ci z tyłu znów niecierpiliwili się i napierali i dreptali w miejscu...

Ci, którzy weszli do środka, stali teraz w milczeniu, z opuszczonymi głowami, a przed nimi tkwił skamieniały przewodniczący komisji kolejkowej... i ludzie widzieli przed sobą przepastny korytarz, obleczony szarą olejną lamperią, a wzdłuż tego korytarza tłoczyła się inna, obca kolejka, długa aż do blaszanych, na szaro pomalowanych drzwi z tabliczką informacyjną i na czele tej kolejki stał jakiś inny, obcy przewodniczący komitetu kolejkowego i trzymał w ręku cienki szkolny zeszytek i наносił coś na grafik...

I wtedy blaszane drzwi drgnęły i uchyliły się i ukazał się tułów kobiety, która wycofywała się w ukłonach i zatrzymywała się i znów kłaniała i trzymała rękę na klamce, a potem znów zrobiła kroczek do tyłu i już zamykała za sobą drzwi, ale jeszcze raz wsunęła głowę w wąską szparę i chciała się ukłonić na koniec już ostatecznie, ale jednocześnie z całej siły dociągnęła te ciężkie blaszane drzwi i...

SPIS RZECZY

<i>Jakoś pusto...</i>	7
<i>Płonie Teatr Narodowy</i>	14
<i>Jeszcze Polska?</i>	21
<i>Zwycięs...</i>	28
<i>Trzej królowie</i>	35
<i>Łańcuch czystych serc</i>	45
<i>Poczucie</i>	54
<i>Świat światów</i>	64

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 29 JANVIER 1988
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1988.

N^o d'imprimeur 8653.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

